

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 17 września 1910. Nr. 38

Bandytyzm w Królestwie.

(Treść na str. 2).



Nr. 38. „Nowości illustrowanych" zawiera: Paryscy radni w Wiedniu. — Zgon znanego filantropa. — Zaprzysiężenie prezydenta miasta Krakowa. — Sokoli kurs gier i sportów. — Z beczką naokoło świata. — Powódź na Morawach. — Cesarz rosyjski na wakacyach. — Krakowski teatr ludowy.

Swięto polskiej techniki. (Szereg zdjęć ze zjazdu techników i z wystawy awiatycznej we Lwowie.)



Fot. M. Münz, Lwów.
Święto polskiej techniki: Uroczyste otwarcie wystawy polskiej architektury, rzeźby i malarstwa w pałacu sztuki na placu powystawowym.

Bandytyzm w Królestwie.

(Do illustracyi tytułowej).

Straszna klęska bandytyzmu nie wygasła dotychczas w Królestwie Polskiem i wciąż przychodzą stamtąd wiadomości o coraz nowych napadach i rabunkach, dokonywanych w rozmaitych stronach nieszczęsnego kraju, przez zbrojnych rozbójników bądź na poszczególne osoby, bądź też na dwory i domy.

I tak w Mierowie pod Pińczowem, zrabowali bandyci dom rodziny Sucheniów, przyczem zamordowali dwie osoby, a kilka poranili, w Kobaczkach w Grodzieńskiem napadli na dwór p. Klemczyńskich, musieli jednak wskutek obrony młodego Klemczyńskiego ustąpić, ostatnio zaś dokonali napadu inni rabusie w okolicy Wawru na dyrektora towarzystwa wyrobów metalowych w Kaczym Dole, p. Piotra Kępczyńskiego. Dyrektor Kępczyński jechał w nocy około 12 godziny z dworca w Wawrze do swego mieszkania w Kaczym Dole, gdy nagle kilku bandytów otoczyło bryczkę, a jeden z nich wskoczył na stopień i dał do jadącego dwa strzały rewolwerowe. Na szczęście strzały chybiły, a dyrektor Kępczyński, nie tracąc przytomności, dobył z kieszeni swój rewolwer i trzema strzałami powalił bandytę, poczem reszta rzezimieszków zbiegła. Raniony strzałami bandyta, w którym rozpoznano jednego z najniebezpieczniejszych złoczyńców, Stanisława Leśniewskiego, zmarł prawie natychmiast; zawiadomiona przez napadniętego żandarmerya poszukuje jego wspólników.

Swięto polskiej techniki.

Rozwijająca się wspaniale i bardzo szybko polska wiedza techniczna, święciła w ubiegłym tygodniu uroczyste swe święto. Był niem V. zjazd polskich techników we Lwowie, połączony z wystawami: prac słuchaczów politechniki, prac techników polskich i I. wystawy awiatycznej. Wygłoszone na zjeździe referaty ze wszystkich dziedzin techniki dały obraz dzisiejszego stanu tej ważnej nauki pod względem teoretycznym, wystawy zaś wspomniane pozwoliły zapoznać się z poziomem techniki polskiej w praktyce.

Zjazd rozpoczął się już we czwartek ubiegłego tygodnia wieczór zebraniem towarzyskiem w salonach Koła literacko artystycznego, dokąd przybyło przeszło 200 uczestników zjazdu celem wzajemnego poznania się.

Właściwe otwarcie zjazdu nastąpiło w piątek



Święto polskiej techniki: Uroczyste otwarcie Zjazdu w auli politechniki lwowskiej. Za stołem prezydyum Zjazdu.



Święto polskiej techniki: Uczestnicy V. Zjazdu polskich techników przed gmachem lwowskiej politechniki, z ks. A. Lubomirskim (X) w pośrodku.

rano w auli politechniki lwowskiej. Gmach politechniki przystrojono w odświętne szaty, nadto wzniesiono u wejścia bramę tryumfalną. Już o 9 godzinie zaroiły się korytarze tłumem gości, przybyłych z całego kraju i z dwu innych dzielnic Polski. Przybyli też dygnitarze z namiestnikiem i marszałkiem na czele, komenderujący korpusu lwowskiego, prezes Koła polskiego dr. Głąbiński, prezes Ligi pomocy przemysłowej poseł ks. A. Lubomirski, wiceprezydent Rady szkolnej krajowej dr. Dembowski, prezydent miasta Ciuchciński i wielu, wielu innych.

Przy stole prezydyalnym zajęli miejsca: prezes stałej delegacyi zjazdu radca dworu Franke, prezydyum komitetu wykonawczego: prof. Syroczyński, radca dworu Ingarden, dyrektor Tomicki, prezes Maślanka itd.

Zjazd otworzył prezes stałej delegacyi zjazdu techników polskich, radca dworu Franke, wskazując na świetne wyniki prac techników polskich na różnych polach. Następnie powitał zebranych prezes komitetu wykonawczego prof. L. Syroczyński, przedstawiając nadto program prac zjazdu. Przemawiali dalej: marszałek kraju St. hr. Badeni, rektor politechniki lwowskiej Pawlewski, prezes Koła polskiego i rektor wszechnicy lwowskiej dr. Głąbiński, wreszcie imieniem stowarzyszenia techników warszawskich p. Obrębowicz.

Po uchwaleniu regulaminu obrad wybrano prezydyum zjazdu; prócz kilku prezesów honorowych, wybrano rzeczywistymi prezesami pp. Obrębowicza z Warszawy, Ekielskiego z Krakowa, Gosiewskiego z Przeworska i prof. Skibińskiego ze Lwowa.

Prace zjazdu rozpoczął odczyt radcy dworu Ingardena „o publicznych budowlach wodnych, prowadzonych przez rząd w Galicyi“. Następnie udali się uczestnicy zjazdu na otwarcie wystaw, oprowadzani przez komitet wystawowy.

Z pomiędzy tych wystaw największe zainteresowanie wbudziła I. polska wystawa awiatyczna, urządzona staraniem galicyjskiego związku techniczno-lotniczego „Awiata“. Wystawa ta, mieszcząca się na podwórzu politechniki, daje pokaz wszystkiego, co w dziedzinie lotnictwa powstało w ostatnich czasach. Interesująca zaś jest ta wystawa zwłaszcza z tego względu, że obok modeli zagranicznych, jak Wright, Bleriot, Chauvier, znajdują się tam okazy polskich wynalazców i konstruktorów, dowodzące, że i w tej dziedzinie techniki postępujemy zwolna naprzód.

wykonane znakomicie przez inżyniera Floryańskiego. Są dalej aeroplany, a to dwupłaszczyznowiec inżyniera Webera, asystenta politechniki lwowskiej, przypominający budową latawce Farmana, zaopatrzony w motor Körtinga, o skrzydłach wygiętych w tył,



Fot. Münz, Lwów.

Święto polskiej techniki: Uczestnicy otwarcia Zjazdu w auli politechniki. W pierwszym rzędzie namiestnik dr. Bobrzyński, marszałek hr. Badeni, prezes Koła dr. Głąbiński i prezydent Lwowa Ciuchciński.

I tak widzimy tam modele aeroplanów Owsianego z Warszawy, Naszkiewicza z Rudek, Kolouska z Krakowa, z obcych modele Wrighta i Bleriota, ku górze. Wykonanie tego aeroplanu spoczywało w ręku kilku słuchaczów politechniki, pod kierownictwem konstruktora Webera oraz prof. Sochackiego.



Święto polskiej techniki: Sala rzeźby i malarstwa polskiego na wystawie w pałacu sztuki. (Fot. M. Münz, Lwów).

Jest dalej na tej wystawie zgrabny jednopłaszczyznowiec, pomysłu p. Golda, wykonany w znanej lwowskiej pracowni p. Witolda Trandy, jest wreszcie mono-biplan inżyniera Libańskiego.

Pozatem jest na wystawie wiele propellerów,



Fot. Münz, Lwów.

Święto polskiej techniki: Mono-biplan inżyniera Libańskiego na wystawie awiatycznej.

motorów najrozmaitszej konstrukcyi, dalej mnóstwo fotografii, szkiców oraz broszur, traktujących o dzisiejszym stanie lotnictwa u nas i zagranicą.

Całość wystawy przedstawia się bardzo pięknie, nic dziwnego też, że zwiedzają ją tłumy publiczności. Bardzo dużem powodzeniem cieszyły się też wystawy prac techników i prac słuchaczów politechniki.

Obrady zjazdu techników toczyły się w piątek popołudniu i w sobotę przez dzień cały w kilku sekcyach, a to architektonicznej, komunikacyi lądowej, budownictwa wodnego, mechanicznej, tekstylnej, elektrotechnicznej, chemicznej, górniczej i w dwu sekcyach ogólnych.

Drugie ogólne zebranie odbyło się w niedzielę, przy bardzo licznym udziale uczestników. Na zebraniu tem powzięto szereg ważnych uchwał, między innemi uchwałę, oświadczającą się kategorycznie za budową kanału wodnego w Galicyi, zgodnie z sankcyonowaną już ustawą państwową. Po dokonaniu wyboru członków stałej delegacyi zjazdu techników polskich i wyrażeniu życzenia, by następny zjazd odbył się w 1912 r. w Krakowie, prezes Obrębowicz zamknął obrady V. zjazdu, dziękując wszystkim uczestnikom za współudział w pracach.

Na zakończenie odbyło się odsłonięcie biustu śp. prof. Zacharyewicza w westybulu politechniki.



Zgon znanego filantropa: Bł. p. dr. Wilhelm Holzer.

Wspomnieć jeszcze należy o otwartej w czasie zjazdu techników wystawie architektury, rzeźby i malarstwa polskiego w pałacu sztuki na placu powystawowym. Wystawa ta, urządzona z wielkim nakładem pracy, przedstawia się imponująco i jest świadectwem bardzo wysokiego poziomu wymienionych gałęzi sztuki polskiej.

W uzupełnieniu zamieszczamy dziś szereg zdjęć ze zjazdu techników oraz wystaw, równocześnie we Lwowie otwartych.



Fot. M. Münz, Lwów.

Święto polskiej techniki: Monoplan p. Golda, po wykonaniu w pracowni p. W. Trandy.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

17 (Ciąg dalszy).

— Dwu... dwudziesty siódmy — wyszeptał baron.

Ręce ajentów chwytały Sernina. Lufy rewolwerów podniosły się groźnie.

Odwrócił się ku ajentom, którzy przejęci instynktownym strachem, odstąpili dalej.

— Jeżeli się ruszysz — krzyczał Weber, celując — palnę ci w łeb!

— Zbyteczne strzały — odpowiedział Sernin poważnie — ja się poddaję. Nie masz prawa strzelać, gdyż nie stawiam oporu.

Wyciągnął z kieszeni dwa rewolwery i rzucił je na ziemię.

Pan Weber kazał odemknąć okiennicę piwnicznego okienka i światło dzienne wpadło do izby. Odwrócił się do Altenheima. Tu nagle, ku wielkiemu jego zdziwieniu, baron, którego miał za umarłego, otworzył oczy, straszne, bielmem zachodzące oczy. Popatrzył na Webera, a potem wzrok jego padł na Sernina. Skurcz gniewu wykrzywił mu twarz. Zdawał się budzić z martwoty, nagła nienawiść w[illegible]cała mu resztki sił. Dźwignął się trochę na obu rękach i usiłował przemówić.

— Poznajesz go, co? — pytał Weber. — To jest Lupin, nieprawdaż?

— Tak... Lu... pin!...

— Chcesz mi coś jeszcze powiedzieć! — zapytał Weber, widząc, że wargi barona wciąż jeszcze się poruszają.

— Tak!...

— Może co o panu Lenormand?

— Tak!...

— Zamknęliście go? gdzież, odpowiedz!

Całem swojem wyprężonem ciałem, całym swym wytężonym wzrokiem Altenheim wskazywał na szafę, stojącą w rogu izby.

— Tam... tam... — bełkotał.

Pan Weber otworzył szafę. Na jednej z półek leżała paczka, zawinięta w czarną chustkę.

Rozwinął paczkę i znalazł w niej kapelusz, małe pudełko i ubranie.

Zadrżał... Poznał oliwkowy surdut pana Lenormanda.

— Ach, nędznicy! — krzyknął — oni go zamordowali!

Altenheim zaprzeczył gestem.

— Więc co?

— To on... on!

— Jakto on? Czy to Lupin zabił szefa?

— Nie...

Z dzikim uporem Altenheim czepiał się życia, pragnąc mówić, pragnąc oskarżać... Tajemnica, którą chciał odsłonić, wisiała mu na końcu języka, ale nie mógł, nie umiał wypowiedzieć jej słowami

— No więc jakżeż — nalegał Weber — p. Lenormand przecież umarł?

— Nie.

— Więc żyje?

— Nie.

— Nie rozumiem... Więc czyjeż to ubranie? Ten surdut?

Altenheim obrócił oczy w stronę Sernina. Nagła myśl uderzyła Webera.

Ach, rozumiem! Lupin zdobył ubranie pana Lenormanda i chciał się w nie przebrać, ażeby uj[illegible]

— Tak... tak...

— Wcale nieźle — zawołał Weber. — To sztuczka w jego rodzaju. W tej izbie znaleźlibyśmy Lupina, przebranego za p. Lenormanda, może nawet okutego w kajdany. Tym sposobem byłby się wy[illegible]ał... Tylko... brakło na to czasu. To tak było? prawda?

— Tak... tak...

Ale w spojrzeniu umierającego Weber czytał, że jeszcze coś było pozatem i że to jeszcze nie cała tajemnica. Pytał więc dalej:

— A gdzie jest p. Lenormand?

— Tu...

— Jakto? tu!

— Tak...

— Ależ my tylko jesteśmy w tej izbie!

— Jest... jest... Ser... Sernin... Lenormad...

Pan Weber skoczył. Nagła jasność zaświeciła mu w głowie.

— Nie, nie, to niemożebne — szepnął — to szaleństwo!

Przyjrzał się bacznie więźniowi. Sernin wyglądał, jak gdyby go ta cała scena bawiła i jak gdyby ciekawie wyglądał rozwiązania.

Altenheim, wyczerpany, upadł na wznak. Czy też umrze, zanim wypowie ostateczne słowa zagadki? P. Weber, niepokojony przypuszczeniem niedorzecznem, nieprawdopodobnem, przed którem się bronił, a które jednak czepiało go się uporczywie— przyklęknął i zwolna, wyraźnie, tak, żeby każda sylaba, dotarła do omroczonej świadomości umierającego, wygłosił mu pytanie do samego ucha:

— Powiedz, czy ja dobrze zrozumiałem? Lupin i Lenormand to jeden i ten sam — nieprawdaż?

Martwiejące oczy, w których na chwilę obudził się błysk przytomny, powlokły się mgłą. Strumyczek krwi wypłynął z kącika ust... Kurcz wstrząsnął ciałem, które wyprostowało się martwe...

W niskiej izbie, pełnej ludzi, nastało długie milczenie.

Prawie wszyscy ajenci, strzegący Sernina, odwrócili się i zdumieni, nie rozumiejąc, czy nie chcąc rozumieć, słuchali niebywałego oskarżenia, którego bandyta nie zdołał sformułować jaśniej.

Pan Weber wyjął znalezione w zawiniątku pudełko i otworzył je. Zawierało perukę siwą, okulary w srebrnej oprawie, bronzowy fular, a na samym spodzie, pod podwójnem dnem, słoiki z farbami i maściami i pudełeczko pełne drobnych pukli siwych włosów — wszystkie przybory jednem słowem do stworzenia charakterystycznej fizyonomii p. Lenormanda.

Zbliżył się do Sernina i popatrzył nań bacznie, w zamyśleniu, zastanawiając się nad wszystkimi obrotami tej sprawy.

— A więc to prawda? — szepnął nareszcie.

Sernin nie tracił spokoju. Uśmiechnął się tylko.

— Jeżeli mam odpowiadać, każ pan tym ludziom spuścić broń, bo mi to celowanie we mnie przeszkadza.

P. Weber dał znak ajentom i wycelowane rewolwery opuściły się ku ziemi.

— A teraz mów. To ty zatem jesteś p. Lenormand?

— Ja w mojej własnej osobie.

Ozwały się okrzyki. Jan Dondeville, obecny tu, podczas gdy brat jego strzegł ujścia tunelu, nawet Jan Dondeville, własny wspólnik Sernina, patrzył w niego, jak nieprzytomny. P. Weber osłupiały, nie wiedział co robić.

— To niesłychane, prawda? — Uśmiechnął się Sernin. Zwłaszcza, gdy się przypomni, jak się to razem pracowało, ja jako zwierzchnik naczelny, pan jako mój pomocnik.

A już to najzabawniejsze, że myśleliście, iż on zginął, ten dzielny p. Lenormand, równie jak ten biedny Gourel. Ale nie, nie, mój poczciwy starowina żył jeszcze.

Ukazał ręką na trupa Altenheima.

— O, ten tutaj bandyta wrzucił mnie do wody, we worku, kamień przywiązawszy mi do pasa. Tylko, że zapomniał odebrać mi nóż... A nożem przecina się worki i sznury.

P. Weber słuchał, nie wiedząc, co o tem myśleć. Wkońcu zrobił ręką gest zniechęcenia, jak gdyby wszelkim rozumowym kombinacyom dawał za wygraną.

— Kajdanki! — rozkazał, przestraszony nagle.

— I tyle tylko? pomysł nie nowy. I owszem, jeśli to państwu sprawia przyjemność...

I widząc Dondeville'a w pierwszym rzędzie napastników, wyciągnął ręce do niego.

— Miej ty ten zaszczyt, przyjacielu i nie trap się, wierny sługo pana Lenormanda... Skoro niema innej rady, trudno...

Dondeville założył mu kajdanki.

Nie poruszając nawet wargami, bez jednego drgnięcia w twarzy, Sernin szepnął mu cichutko:

— Ulica Rivoli 27... Genowefa...

P. Weber nie mógł opanować zadowolenia na widok skutego wroga.

— W drogę! — rzekł. — Do więzienia S û r e t é.

— — — — — — — — — — — —

Przechodem tylko zatrzymano się w więzieniu Sûreté. Dokonano mierzeń antropometrycznych i przewieziono więźnia do bezpieczniejszego lokalu w więzieniu de la Santé. O siódmej wieczór książę Sernin znalazł się w celce Nr. 14 drugiego oddziału.

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

Arsen Lupin od czterech lat był szefem bezpieczeństwa! Gdy prasa rozgłosiła tę sensacyjną wiadomość, zdumienie publiczności nie miało wprost granic. Był nim od czterech lat! Był nim rzeczywiście, legalnie, zażywał wszystkich praw, które to stanowisko daje, zdobył uznanie zwierzchników, przychylność rządu, podziw szerokiej publiczności.

Od czterech lat bezpieczeństwo mieszkańców i obrona własności spoczywały w jego ręku. Czuwał nad wypełnianiem prawa, opiekował się niewinnym, ścigał winnego.

I jakie przy tem oddał usługi! Nigdy tak rzadko nie zakłócano porządku, nigdy wykrycie zbrodni nie następowało tak pewnie ani tak pośpiesznie, jak pod jego właśnie kierownictwem.

Zrozumiano teraz nadzwyczajnie zręczne sztuki, cudowne na pozór, które do niedawna jeszcze zdumiewały tłum i samą policyę. Zrozumiano porwanie jego wspólnika w jasny dzień, w oznaczonej dacie z Pałacu sprawiedliwości... To przecież było tak proste. Lupin był szefem bezpieczeństwa, a wszyscy policyjni ajenci, słuchając jego rozkazów, stawali się mimowolnie, nieświadomie jego wspólnikami.

Co za doskonała komedya! Co za ucieszna farsa!

— — — — — — — — — — — —

Obudziwszy się nazajutrz w swojej celi, Arsen Lupin pogrążył się w głębokie rozmyślania.

— Tak, tak — dumał — choć trochę odpoczynku w tym lokalu tylko na dobre mi wyjdzie, to jednak przyznać muszę, że program mego działania niepomiernie się utrudnił.

Wstał i zaczął się ubierać.

— Mam teraz dwóch przeciwników. Najpierw społeczeństwo, które mnie więzi — ale z tego sobie kpię — a powtóre osobistość nieznana, która mnie wprawdzie nie więzi, ale z której ja znów nie kpię wcale... To t a m t e n odgadł, że ja jestem p. Lenormand. To t a m t e n zamknął drzwi podziemnego ganku, to on popchnął mnie do więzienia.

Zamyślił się na chwilę.

— Tak tedy cała walka między nim a mną. A chcąc prowadzić tę walkę, to jest wyświetlić i wykonać projekt Kesselbacha, ja tu jestem uwięziony, podczas gdy on jest wolny, nieznany, niedostępny i ma w ręku dwa atuty, którymi sądziłem, że ja rozporządzam, to jest Piotra Leduc i starego Steinwega... jednem słowem on sam dopływa do końca, odsunąwszy mnie zupełnie.

I znowu wpadł w zadumę.

— Tak — szepnął po chwili sam do siebie — położenie świetnem bynajmniej nie jest. Mam przeciw sobie człowieka równie silnego, jak ja, silniejszego nawet, ponieważ nie krępują go te skrupuły, którym ja podlegam. Przytem do walki ja nie mam broni...

Powtórzył te wyrazy kilkakrotnie i ująwszy czoło w dłonie, zamyślił się znów głęboko.

— — — — — — — — — — — —

Pan Weber osobiście w towarzystwie dwunastu ajentów policyjnych przyjechał fiakrem, by zawieść Lupina przed oblicze sędziego śledczego. Dziwny i złożony wielce był stan uczuć p. Webera w stosunku do swego przeciwnika; składał się nań i lęk przed Lupinem i szacunek dla księcia Sernina i podziw zmieszany z uszanowaniem, jaki zawsze odczuwał wobec pana Lenormanda. Do tego mieszała się uraza, zazdrość, nienawiść i zaspokojona próżność.

Przed Pałacem Sprawiedliwości czekali już ajenci służby bezpieczeństwa, pomiędzy nimi zaś p. Weber z radością zauważył dwóch swoich najlepszych pomocników, braci Dondeville.

— Czy pan Formerie jest u siebie?

— Tak, pan sędzia śledczy czeka w swoim gabinecie.

Pan Weber wstąpił na schody, za nim Lupin, eskortowany przez obu braci Dondeville.

— I cóż Genowefa? — szepnął więzień.

— Uratowana. Jest u swej babki.

— A pani Kesselbach?

— W Paryżu, w hotelu Bristol. Zuzanna zniknęła.

— A Steinweg?

— O tym nic nie wiemy.

— Czy willa Dupont strzeżona?

— Tak jest.

— To dobrze. Macie tu wskazówki, jak ze mną korespondować.

Wychodzili na wewnętrzny korytarz pierwszego piętra. Lupin wsunął w rękę jednego z braci kulkę zmiętego papieru.

— — — — — — — — — — — —

— Ach, otóż to! — uśmiechnął się pan Formerie, gdy Lupin w towarzystwie Webera wszedł do jego gabinetu — nie wątpiłem, że prędzej, czy później, będziemy tu pana mieli!

— I ja o tem nie wątpiłem, panie sędzio śled-

czy — odpowiedział Lupin — i cieszę się, że to panu właśnie przypada w udziale oddać sprawiedliwość porządnemu człowiekowi, jakim ja jestem!

— Ten porządny człowiek ma nam na razie odpowiadać za trzysta czterdzieści spraw kradzieży, włamań, fałszerstw, szantaży, paserstw i t. d. Ten porządny człowiek ma nam dziś odpowiadać za zbrodnię morderstwa, spełnionego na baronie Altenheim.

— O! to coś nowego! Czy to pański pomysł, panie sędzio śledczy?

— Tak jest. Pozycya, w jakiej pana pochwycono, nie pozwala wątpić o tem.

— Pozwolę sobie zadać pytanie: jaka to rana spowodowała śmierć Altenheima?

— Rana na szyi, zadana nożem.

— A gdzież jest ten nóż?

— Noża nie znaleziono.

— Jak to, nie znaleziono noża, skoro to ja mam być mordercą, a pochwycono mnie tuż obok człowieka, którego ja miałem zabić?

— Więc któż, zdaniem pana, jest mordercą?

— Nikt inny, jak tylko ten, który zamordował Kesselbacha, Chapmana i t. d. Rodzaj rany jest wystarczającym dowodem.

— A którędyż on mógł uciec?

— Przez otwór, nakryty klapą, który znajdziesz pan w tej samej izbie, gdzie się dramat rozegrał.

Pan Formerie chytrze się uśmiechnął.

— A dlaczegoż to pan za tym zbawiennym przykładem nie poszedłeś?

— Chciałem to uczynić. Ale ujście zawarte było drzwiami i tych nie mogłem otworzyć. Podczas tego tamten wrócił do izby i zabił swego wspólnika, prawdopodobnie z obawy, ażeby go nie wydał. Równocześnie ukrył w szafie, tam będącej, paczkę z ubraniem, którą ja dla siebie przygotowałem.

— Co to za ubranie i na co miało służyć?

— Chciałem się przebrać. Idąc do willi „pod Glicyniami“, miałem taki zamiar: wydać Altenheima w ręce sprawiedliwości, zniknąć jako książę Sernin i pojawić się znowu w postaci p. Lenormand...

Pan Formerie uśmiechnął się przebiegle.

— Czyż i mnie chcesz pan wziąć na kawał tą bajeczką o panu Lenormand? Lupin szefem bezpieczeństwa? Na co ta blaga, na co?...

Lupin spojrzał nań osłupiałym wzrokiem. Choć niewielkie miał wyobrażenie o bystrości sędziego śledczego, jednakże tępota i zarozumiałość tego człowieka przeraziły go nieomal. Pan Formerie tymczasem, uśmiechając się z zadowoleniem, bębnił palcami po stole.

— Mówżeż pan już raz rozsądnie i nie upieraj się przy tym niedorzecznym pomyśle!

Lupin wzruszył ramionami.

— Trudno, muszę obstawać przy tem, bo to jest właśnie sama rzeczywista prawda. Łatwo panu zresztą będzie, jeżeli pan zechce popłynąć do Kochinchiny, przekonać się w mieście Sajgun, że umarł tam prawdziwy p. Lenormand, ów zacny człowiek, na którego miejsce ja się podstawiłem; postaram się dla pana o jego akt zejścia.

— Nie blaguj pan!

— Ostatecznie, panie sędzio, przyznaję, że mi to wszystko jedno. Możesz pan wierzyć, albo i nie wierzyć. Możesz pan sobie twierdzić, że zabiłem Altenheima, możesz się bawić w swoje dochodzenia. Mnie to wszystko nie obchodzi nic.

Z całym spokojem przysunął sobie krzesełko, usiadł naprzeciw pana Formerie i krótko, sucho, ciągnął dalej:

— Ale ja nie mam czasu do stracenia. Mam ważną sprawę na głowie, a ta nie cierpi zwłoki. Ponieważ zaś panowie skazaliście mnie chwilowo na przymusową bezczynność, zniewolony jestem wam moje interesa poruczyć. Czy jasno mówię?

— Ależ to śmieszne doprawdy! — odezwał się p. Formerie.

— Smieszne, czy nie, tak być ma. W wolnych chwilach zabawiajcie się panowie moim procesem, dochodzeniami co do mojej winy — i owszem — w tem rzecz jednak, byście ani na chwilę nie tracili z oka głównego waszego zadania.

— Mianowicie? — zapytał p. Formerie, wciąż podrwiwając.

— Mianowicie powinniście mnie zastąpić w śledzeniu za sprawą Kesselbacha, a zatem starać się odkryć Steinwega, poddanego niemieckiego, którego porwał i uwięził śp. baron Altenheim.

— Cóż to znów za historyjka?

— To jedna z tych, które zatrzymywałem przy sobie, dopóki byłem... panem Lenormand. Pan Weber o tem coś wie. Jednem słowem, stary Steinweg zna tajemnicze zamysły nieżyjącego dziś Kesselbacha, a Altenheim, który również gonił za tym śladem, złapał i ukrył starego Steinwega.

— Ludzie nie znikają w ten sposób. On musi gdzieś być, ten Steinweg.

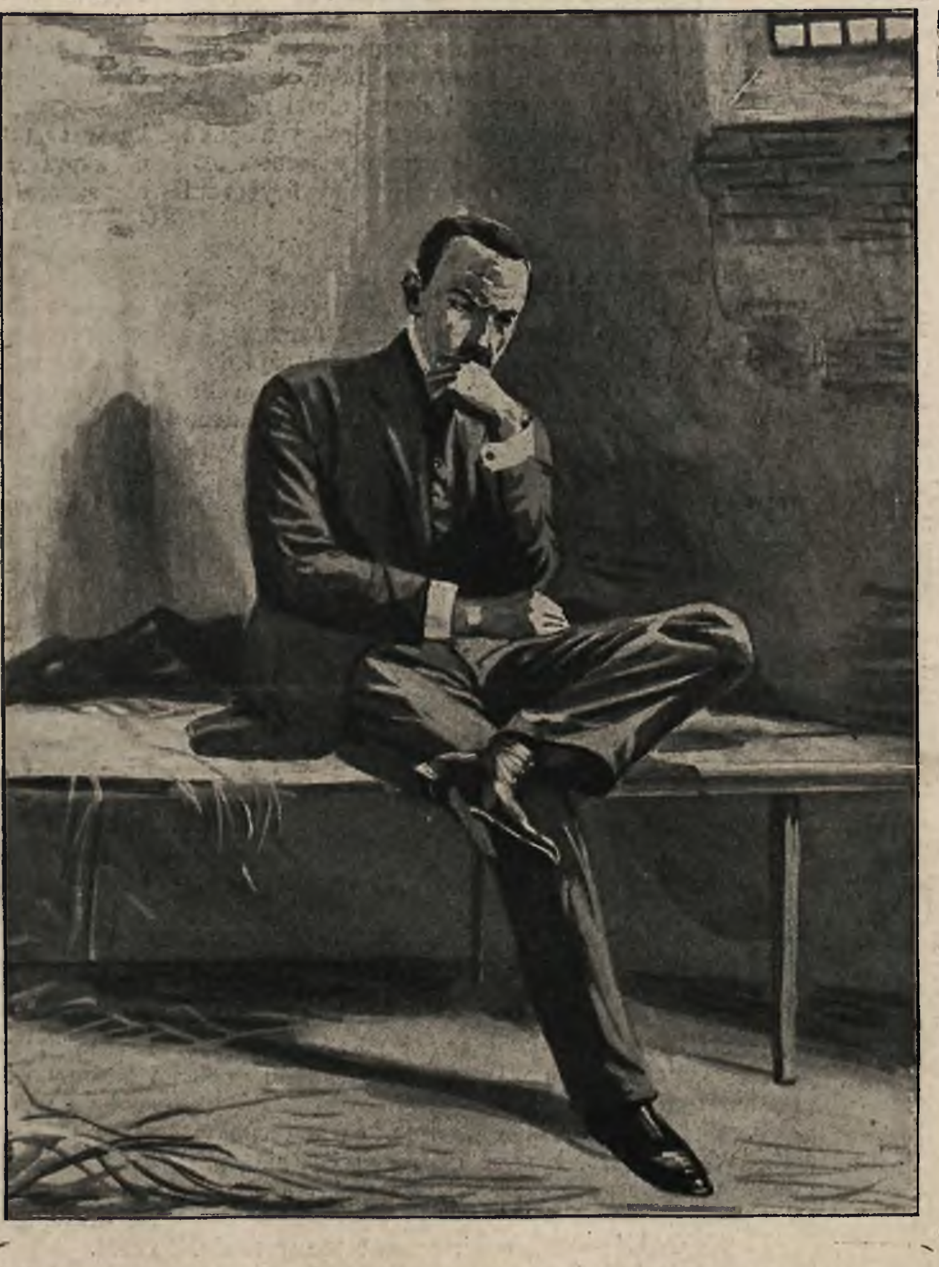
— Najniezawodniej.

— A pan wiesz, gdzie?

— Tak, jest w willi Dupont, Nr. 29.

P. Weber wzruszył ramionami.

— A więc u Altenheima? W jego mieszkaniu?



Obudziwszy się nazajutrz w swej celi, Arsen Lupin pogrążył się w głębokie rozmyślanie.

Czyż można dać wiarę wszystkim tym bredniom? W kieszeni barona znalazłem jego adres. W godzinę później jego willę zajęli moi ludzie.

Lupin odetchnął z głęboką ulgą.

— Ach, jaka dobra nowina! A ja tak się lękałem, że wspólnik się w to wmiesza, ten, którego ja dosięgnąć nie mogłem i że gdzieś uprowadzi Steinwega! A służba?

— Uszli wszyscy.

— Tak, z pewnością tamten uprzedził ich telefonicznie. Ale Steinweg został.

— Ależ mówię — zniecierpliwił się pan Weber — że niema tam nikogo. Moi ludzie nie wyszli stamtąd przecież!

— Panie pomocniku szefa bezpieczeństwa, niech pan sam przeszuka dom!

— Pilniejsze mam sprawy na głowie!

— Niema pilniejszej nad to. Jeśli się pan nie pośpieszy, stary Steinweg nie przemówi.

— A to dlaczego?

— Bo jeśli mu za dzień, za dwa, nie dostarczycie żywności, stary Steinweg umrze z głodu!

II.

— Hm... — skrzywił się p. Formerie — mój panie Lupin, to wszystko jest jedna, jedna wielka blaga... Nie gniewaj się pan proszę... Trudno, poznałem się na pańskich sztuczkach i ufać panu nie mogę...

— Idyota — mruknął Lupin pod nosem.

Pan Formerie wstał.

— No dosyć. To było tylko przedwstępne przesłuchanie. Przy dalszych będzie nam potrzebny adwokat pański.

— Czy to absolutnie konieczne?

— Tak jest — prawo tego wymaga.

— Jeżeli już tak, to niechżeż będzie pan Quimbel.

— I owszem, wybierasz pan dobrego obrońcę.

Skończyło się pierwsze przesłuchanie. Schodząc ze schodów pomiędzy obu braćmi Dondeville, więzień szeptem rzucał rozkazy:

— Pilnujcie domu Genowefy... stale czterech ludzi niech czuwa. I nad panią Kesselbach też... zagraża im niebezpieczeństwo. Będą przeszukiwali willę Dupont... bądźcie przy tem. Gdyby miano znaleść Steinwega, urządźcie to tak, żeby on milczał... troszkę proszku w razie potrzeby...

— Kiedy pan wyjdzie na swobodę, mistrzu?

— Na razie nic zrobić nie można... Zresztą niema gwałtu... odpoczywam.

Wróciwszy do swojej celki, Lupin napisał długi list z instrukcyami do braci Dondeville i jeszcze dwa inne listy. Jeden z nich był do Genowefy.

„Genowefo, wiesz teraz, kim jestem i zrozumiesz, dlaczego kryłem przed tobą imię tego, który po dwakroć jako małą dziewczynkę, unosił ciebie w ramionach.

„Genowefo, byłem przyjacielem twojej matki, przyjacielem dalekim, którego dwoistości życia ona nie znała, ale na którym wiedziała, że może polegać. To też przed śmiercią napisała do mnie słów kilka i błagała mnie, bym czuwał nad tobą.

„Choć tak niegodny twojego szacunku, Genowefo, ja wiernym pozostanę temu zobowiązaniu. Zachowaj dla mnie kącik w twojem sercu.

Arsen Lupin“.

Drugi list adresowany był do Dolores Kesselbach.

„Własny tylko interes zaprowadził księcia Sernina do pani Kesselbach. Ale przemożne pragnienie poświęcenia się dla niej przykuło go odtąd do niej.

„Teraz, gdy książę Sernin jest już tylko Arsenem Lupin, prosi panią Kesselbach, by mu nie odbierała prawa czuwania nad nią z daleka, tak, jak się czuwa nad kimś, kogo się już nie zobaczy“.

Sięgnąwszy po koperty, leżące na stole, zauważył kartkę białego papieru, na której naklejone były wyrazy, widocznie wycięte z dziennika:

„Walka z Altenheimem nie powiodła ci się. Przestań się zajmować sprawą — a ja ci nie przeszkodzę w ucieczce. *L. M.*“

I znowu ogarnęło Lupina to uczucie wstrętu i strachu, jak gdyby dotknął gadu, jadowitego tworu...

— I znowu on! — zawołał — i aż tu dotarł!

— — — — — — — — — — —

Nazajutrz w południe, odmówiwszy widzenia się ze swym adwokatem, Lupin z temiż samemi ostrożnościami zawieziony został na przesłuchanie przed sędzią śledczym. Znowu się zetknął ze starszym Dondeville, zamienił z nim kilka słów i wsunął mu przygotowane trzy listy. Wprowadzono go do gabinetu pana Formerie. Obecnym był i pan Quimbel, adwokat.

Nie długo jeszcze trwało przesłuchanie, nie doprowadzając zresztą do niczego, gdy wszedł woźny i szepnął coś do ucha sędziego.

— Proszę! niech wejdzie! — zawołał p. Formerie i zaraz też wybiegł naprzeciw wchodzącego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Powódź na Morawach.

Ulewne deszcze, które tak długo i w naszym kraju dały się we znaki w ostatnich czasach, spowodowały na Morawach wylew kilku rzek, a powódź wyrządziła olbrzymie szkody, rujnując mienie i dobytek ludności wielu bardzo wsi i miasteczek.

Szczególnie groźne rozmiary przybrała powódź w południowo-zachodniej części Moraw, w okolicach Węgierskiego Brodu i Węgierskiego Hradyszcza. Woda, wystąpiwszy z brzegów, zalała pola i łąki, zalała też mnóstwo wsi, których ludność zaledwie z trudem ocaliła życie, chroniąc się przed wodą na dachach i strychach domów. Brak łodzi ratunkowych spowodował zupełne odcięcie mieszkańców zalanych wsi od reszty świata, wobec tego że linia kolejowa i gościńce znalazły się pod wodą.

Najbardziej ucierpiała miejscowość Kunowice, gdzie wskutek powodzi zawaliło się przeszło 120 domów. Nie brakło tam ofiar w ludziach, kilka osób mianowicie utonęło, a kilka zginęło pod gruzami walących się domów. W miejscowości Węgierski Ostrów zawaliło się 15 domów.

Akcyę ratunkową prowadzi wojsko oraz żandarmerya, starając się zabezpieczyć ludność przed skutkami powodzi oraz dostarczyć jej żywności, co wobec zniszczenia wszelkich środków komunikacyi, pozrywania mostów i poniszczenia dróg, jest zadaniem bardzo trudnem.

Do miejsc, dotkniętych straszną katastrofą żywiołową, wyjechał namiestnik br. Heinold, aby oglądnąć rozmiary szkód i przypatrzyć się akcyi ratunkowej.

Szkody olbrzymie, dochodzą miliona koron. Doraźna pomoc, z jaką pospieszył rząd, kraj i instytucye rozmaite, jest niczem prawie wobec strat, poniesionych przez ludność. Straszna ta klęska podcięła na długie lata rozwój pięknej i bogatej krainy.



Powódź na Morawach: Obraz spustoszenia w Kunowicach.

Zaprzysiężenie prezydenta m. Krakowa.

Wybrany ponownie przez radę miasta Krakowa prezydentem dr. Juliusz Leo, złożył w ubiegłą środę przysięgę do rąk delegata namiestnictwa, radcy dworu dra Adama Fedorowicza. Uroczystość zaprzysiężenia prezydenta odbyła się w przystrojonej kwiatami sali rady miejskiej, w obecności radców miejskich, posłów, urzędników gminy oraz grona publiczności.

Delegat dr. Fedorowicz odczytał naprzód akt zatwierdzenia przez cesarza wyboru dra Lea na prezydenta, poczem złożył mu życzenia i podniósłszy jego wielkie zasługi około rozwoju Krakowa, zapewnił, że będzie zawsze gorąco popierał usiłowania rady w kierunku dalszego podniesienia miasta, o ile to tylko od niego będzie zależało.

Następnie odebrał p. delegat ślubowanie od prezydenta dra Lea, który podziękował za wyrazy uznania i przyrzeczenie poparcia postulatów miasta, a dalej wygłosił obszerną mowę programową.

Podniósłszy na wstępie wagę i znaczenie miasta Krakowa, które — jak to wykazały podniosłe dni uroczystości grunwaldzkich — zajmuje wprost wyjątkowe stanowisko nietylko w kraju ale w całym narodzie, zaznaczył, iż jest świadom wielkiej odpowiedzialności powierzonego mu urzędu. Przechodząc następnie do szczegółów gospodarki miejskiej w ubiegłem sześcioleciu oraz programu na lata następne, stwierdził dr. Leo, że z zadań natury finansowej osiągnęła rada wszystkie najważniejsze,



Zaprzysiężenie prezydenta miasta Krakowa: Uroczystość zaprzysiężenia dra Lea w sali rady miejskiej. W głębi dr. Leo i delegat dr. Fedorowicz.

a więc usunięcie niedoboru w budżecie, który obecnie opiera się na tak silnej podstawie, iż podoła nowym, choć bardzo rozległym obowiązkom, a więc uzyskanie ulg w państwowym podatku czynszowym, dalej podniesienie dochodów z majątku i przedsiębiorstw gminnych, wreszcie co do akcyzy, której reforma jest konieczna, uzyskanie formalnego przyrzeczenia od ministra skarbu, iż parlament na najbliższej sesyi uchwali taką reformę akcyzy, iż dzięki niej ubogie warstwy ludności miejskiej doznają znacznej ulgi. Ze spraw ekonomiczno-administracyjnych wspomniał prezydent dr. Leo o zabezpieczeniu miasta przed powodzią, przez wybudowanie nowego koryta Rudawy i przez podjęte właśnie prace około skanalizowania Wisły, dalej o sprawie kanałów wodnych, zaznaczając, iż świętym obowiązkiem reprezentacyi miasta a w szczególności posłów krakowskich jest dążenie do pomyślnego załatwienia tej sprawy i niedopuszczenie do zaprzepaszczenia jej przez rząd. W dalszym ciągu świetnej mowy poświęcił prezydent szereg uwag doniosłej sprawie przyłączenia do Krakowa szeregu gmin okolicznych, oraz wyraził nadzieję, iż w najkrótszym czasie nastąpi przyłączenie Podgórza, co leży w interesie obu miast. Zapowiedzią reformy statutu miejskiego i zapewnieniem, iż poświęci wszystkie swe siły pracy dla dobra ukochanego miasta, zakończył dr. Leo swoje wywody, przerywane kilkakrotnie brawami i żywymi oklaskami.



Powódź na Morawach: Zawalony wskutek powodzi dom w Kunowicach.

Sokoli kurs gier i sportów.

W wychowaniu fizycznem młodzieży odgrywają dziś bardzo dużą rolę gry i zabawy ruchowe, uprawiane pod gołem niebem. Zrozumiano wreszcie w społeczeństwie znaczenie sportów, zwrócono na nie baczniejszą uwagę i zwolna poprawiają się u nas stosunki pod tym względem.

Celem dalszego propagowania tej ważnej gałęzi wychowania, urządził Związek sokoli w ciągu ubiegłych wakacyi trzytygodniowy kurs gier i zabaw w połączeniu z lekką atletyką, strzelaniem z karabinów i szermierką. Kurs ten miał na celu wykształcenie zastępu nauczycieli i kierowników, którzyby później, korzystając z nabytych tam wiadomości, organizowali rozmaitego rodzaju gry i zabawy ruchowe wśród młodzieży i racyonalnie niemi kierowali.

Kurs odbył się pod przewodnictwem naczelnika Związku, dra Wyrzykowskiego, w uroczej miejscowości górskiej, Skolem, gdzie już naturalne warunki bardzo sprzyjały temu przedsięwzięciu. Kierownik dr. Wyrzykowski wykładał hygienę sportów i zabaw oraz pomoc w nagłych wypadkach, prócz niego w skład grona nauczycieskiego wchodzili pp. Z. Wyrobek, kierownik parku dra Jordana w Krakowie, Sikorski z Brodów i Kapała ze Lwowa. Uczestni-



Sokoli kurs gier i sportów: Kierownicy i uczestnicy kursu w Skolem.

ków kursu było 27, w tem 5 ze Lwowa, 3 ze Skolego, po 2 z Żółkwi i Białej, a po 1 z Morawskiej Ostrawy, Tyflisu, Tarnowa, Nowego Sącza, Głogowa, Pilzna, Rzeszowa, Przemyśla, Turki, Sokala, Stryja, Tarnopola, Trembowli, Zaleszczyk i Buczacza.

Z beczką wokoło świata.

Wśród wielu oryginalnych zakładów, na jakie w ostatnich czasach zdobywali się ludzie, najoryginalniejszy jest z pewnością zakład dwóch włoskich turystów, którzy zobowiązali się obejść pieszo w przeciągu 12 lat trzy części świata, t. j. Europę, Afrykę i Amerykę, pchając przed sobą wielką beczkę a utrzymując się w drodze z rozsprzedaży kartek widokowych, datków dobrowolnych i t. d.

Droga, jaką obaj turyści mają przebyć, wynosi 66.000 klm. Zakład idzie o grubą sumę, bo 300.000 lirów.

Wędrówkę z beczką rozpoczęli pp. Attilo Zanardi i Eugeniusz Vianello — tak się ci turyści nazywają — w połowie czerwca ubiegłego roku. Zwiedzili naprzód północne Włochy, następnie Szwajcaryę, Francyę, Anglię, Belgię, Holandyę, Niemcy, Rosyę i Królestwo polskie, a stamtąd przez Warszawę przybyli do Krakowa, gdzie w ubiegłym tygodniu spędzili kilka dni, zmuszeni do dłuższego zatrzymania się w naszem mieście skutkiem trwałej słoty.

Pojawienie się oryginalnej pary turystów, pchających olbrzymią beczkę, wywołało oczywiście łatwo zrozumiałą sensacyę na ulicach miasta. Otaczano ich tłumnie i próbowano dowiedzieć się szczegółów oryginalnej wędrówki, niestety pod tym względem ciekawość gawiedzi została zawiedziona, bo turyści władają dobrze tylko włoskim językiem, po niemiecku zaś tylko jeden z nich i to bardzo słabo się porozumiewa. Młode andrusy krakowskie odnosiły się mimo to życzliwie do gości włoskich, okazując serdeczność swą w ten sposób, iż wyręczali ich w popychaniu dużej i dość ciężkiej beczki po ulicach Krakowa.

Jeden dzień spędzili turyści z beczką w Podgórzu, podejmowani gościnnie przez znanego tamtejszego obywatela, radcę Zadęckiego. W ciągu tego dnia zasilili też nieco swoją kasę, gdyż p. Zadęcki pobierał na ich rzecz opłatę od osób, które chciały zobaczyć turystów i ich beczkę.

Z Podgórza ruszyli pp. Zanardi i Vianello w dalszą drogę, kierując się ku Wiedniowi. Obecnie zamierzają udać się na południe Europy, a następnie do Afryki, po zwiedzeniu której popłyną razem z beczką do Ameryki.

Mimo przebycia około 12.000 klm. pieszo, czują się obaj turyści zupełnie dobrze, nie tracą fantazyi ani humoru i wierzą, iż zakład wygrają.



Powódź na Morawach: Zwłoki włościanina z Kunowic, który zginął pod gruzami własnego domu.

Nowe odkrycie Polki.

Odkryty niedawno przez małżonków Curie nowy pierwiastek chemiczny, rad, nieznanym był dotąd w stanie czystym, jedynie tylko w związku z bromem i chlorem. Dopiero obecnie zawiadomiła pani Curie Skłodowska francuską Akademię Umiejętności, że wspólnie z długoletnim swym współpracownikiem, chemikiem de Bierne, otrzymali czysty rad po poddaniu elektrolizie decygrama soli radowych.

Przedstawia on się jako metal biały, połyskujący, czerniejący jednak natychmiast na powierzchni, skoro



Z beczką naokoło świata: Turyści włoscy A. Zanardi i E. Vianello ze swą ogromną beczką w ogródku restauracyjnym w Krakowie.

wystawiony jest na działanie powietrza. Zapala papier, oksyduje mocno we wodzie i bardzo chciwie łączy się z żelazem. Inne własności nowego pierwiastka nie są jeszcze znane; na razie rozporządza p. Curie-Skłodowska maleńkim kawałeczkiem, ważącym



Nowe odkrycie Polki: Rodaczka nasza, p. Curie-Skłodowska, w swem laboratoryum fizykalnem.

zaledwie kilka miligramów. Cząstkę tę, zamkniętą w rurce szklanej, złożyła badaczka razem z materyałem swym Akademii, spodziewa się jednak, że wkrótce będzie mogła otrzymać większą ilość metalu i wówczas przedsięwziąć rozleglejsze badania. Przy tej sposobności użalała się p. Curie na nieżyczliwość rządu austryackiego, który przyobiecał dostarczyć rudy radowej, przyrzeczenia jednak, jak zwykle zresztą, nie dotrzymał.

Uczeni byli już dawno przekonani, że niezmordowanej badaczce uda się przecież otrzymać czysty rad, wiedziano również, jakie będzie on posiadał własności chemiczne. Przypuszczenia te spełniły się najdokładniej, niespodziankę stanowi tylko wiadomość, że przyciąga on żelazo, więc posiada własność magnesu. Co do naukowego znaczenia odkrycia, zaznaczyć należy, że obecnie stało się możliwem otrzymywanie radu w stanie zupełnie chemicznie czystym i określenie jego wagi atomowej, która wynosi 226. Pozatem nie posiada to odkrycie większego znaczenia praktycznego, lekarze i nadal posługiwać się będą przy próbach i doświadczeniach solami radowemi, łatwiejszemi do uzyskania.

Zgon znanego filantropa.

W ubiegłym tygodniu zmarł we Lwowie bł. p. dr. Wilhelm Holzer, postać niezwykle charakterystyczna, człowiek, który cieszył się tam olbrzymią wprost popularnością, zwłaszcza wśród ubogich mas żydowskich, ze względu na ogromną swą ofiarność. Bł. p. dr. Holzer oddał ubogim nietylko swe siły, swe usługi, ale i znaczny bardzo majątek, dla siebie zachowując tylko niewiele.

Dr. Wilhelm Holzer, Lwowianin z rodu i tam wychowany, otworzył po ukończeniu studyów kancelaryę adwokacką. Doskonały mowca, wybitny prawnik, zjednał sobie liczną klientelę, dzięki czemu kancelarya jego niosła znaczne bardzo dochody. W życiu publicznem brał czynny bardzo udział, był przez długi szereg lat radnym miejskim, przedewszystkiem zaś interesował się sprawami dobroczynności publicznej i był członkiem wszystkich niemal towarzystw o celach humanitarnych.

Najdonioślejszym czynem dra Holzera, to założone przez niego 1897 r. bezpłatne łazienki ludowe przy ul. Berka. Pozatem opiekował się dr. Holzer mnóstwem przytułków dla ubogich, bez różnicy wyznania, opiekował się młodzieżą szkolną i wiele dobrego jej świadczył. Swą nadzwyczajną ofiarnością zjednał sobie bł. p. dr. Holzer niekłamaną miłość wśród ubogich, którzy wiedzieli, że mieszkanie znanego filantropa zawsze dla nich otwarte i że zawsze znajdą tam radę i pomoc wydatną. To też zgon wielkiego filantropa wywołał w całym Lwowie szczery żal i współczucie.

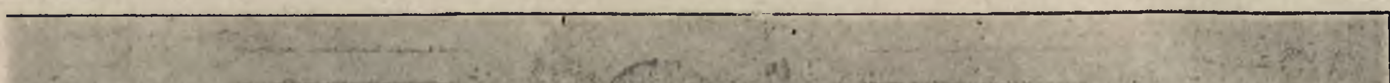
Bł. p. dr. Holzer był też od wielu lat i do końca życia członkiem zboru izraelickiego i inspektorem szkoły im. Czackiego. Na wszystkich polach działalności społecznej odznaczał się wielką sumiennością i gorliwością w spełniniu przyjętych obowiązków, stronił natomiast od godności i zaszczytów, choć mu je niejednokrotnie ofiarowywano.

Zaznaczyć wreszcie należy, że dr. Holzer, choć szczery Żyd, odznaczał się zawsze wielkim patryotyzmem polskim i występował zawsze jako Żyd-Polak.

Cześć Jego pamięci!



Zgon uczonego: Zmarły we Włoszech fizyolog Paweł Mantegazza.



Parysey radni we Wiedniu: Grupa gości przy zwiedzaniu wystawy łowieckiej przed pawilonem francuskim.

ARNOLD GALOPIN.

ZAWIKŁANA SPRAWA.

3

— Pójdzie pan ze mną? — zaczepiłem pana Crawforda.

— Nie... doprawdy... wolę czekać tu na pana...

— Jak pan chce...

Otworzyłem drzwiczki, które wychodziły na u-kryte schodki i wyszedłem do parku, nie troszcząc się odtąd już ani o Bailey'a ani o Mac Phersona, pozostałych w przedpokoju. Miałem nadzieję, że na ziemi znajdę odciski nóg. Obuwie, to człowiek, powiedział ktoś i nie ma w istocie prawdziwszego aforyzmu. Po prostym śladzie podeszwy można zawsze, o ile jest się zręcznym, odnaleść złoczyńcę.

Na nieszczęście deszcz nie padał od trzech tygodni i ziemia była sucha, jak pieprz. Jednakże pod murem, gdzie wielkie drzewa utrzymywały opatrznościową wilgoć, odkryłem nareszcie odcisk buta, dość dobrze zarysowany... buta wąskiego o zwężonym końcu, prosto ściętym... prawdziwy trzewik pański. Jeden tylko szczegół raził w tym eleganckim rysunku podeszwy; była tam ledwie dostrzegalna kreska, biegnąca w poprzek poniżej podbicia. Ten trzewik miał zelówkę! A przecież człowiek światowy nie nosi nigdy podzelowanego obuwia! Morderca mój przeto nie był człowiekiem modnego, eleganckiego świata! Prawdopodobnie więc ukradł te trzewiki i kazał je naprawić na dalszy użytek...

To rozwiązanie zadowolniło mnie na razie, ale zaraz i drugie stanęło mi w myśli: równie dobrze mógł to być i służący, któremu pan, jak to zwykle bywa, dawał swoje stare rzeczy. I myśl ta nawet więcej mi się podobała. Nie wiem dlaczego, ale służący z góry wydają mi się podejrzani. To, że znają miejscowość i zwyczaje tych, którym służą, stawia ich, o ile mają złe zamiary, w specyalnie korzystnem położeniu. Co więcej, tworzą między sobą rodzaj niebezpiecznego związku masońskiego. Wiedzą o wszystkiem, co się u ich rozmaitych chlebodawców dzieje i niech się na stu lokai znajdzie jeden nieuczciwy, znajdzie on w dziewięćdziesięciu dziewięciu kolegach tylu chętnych informatorów, którzy mu najniewinniej w świecie ułatwią zamierzone łotrostwo.

W ten sposób rozumując, starannie badałem grunt w pobliżu odkrytego śladu. Na osuszonym murze znać było świeże zupełnie odrapania.

Tak więc, niewątpliwie, morderca dostał się do parku, a głęboko zaznaczony ślad jego nogi w tem jednem, jedynem miejscu, dowodził jasno, że zaciężył tam całym ciężarem, zeskakując z muru. Widoczne zatem było, że złoczyńca przyszedł z poza domu i że nie należało posądzać domowników willi.

Należało jednakże zbadać, czy kto ze służby Chancera nie był tu wspólnikiem zbrodni, o ile ten człowiek o eleganckiem obuwiu, lecz znoszonem, bo podzelowanem, był w istocie służącym, tak jak ja to przypuszczałem. To też postanowiłem nie tracić z oczu tego heliotropem woniejącego lokaja, który bardzo umiarkowaną wzbudzał we mnie sympatyę. Przez drzwi można wejść i wyjść. Również przez płot albo szczerbę w murze. Morderca pana Chancera dostał się w tem miejscu przez mur; tamtędy też musiał uciekać po spełnieniu zbrodni. Wyszedłem tedy z parku i stanąłem na drodze. Kurz leżał na drodze, gdyż proszę pamiętać, że, jak już wspomniałem, od kilku tygodni nie było deszczu. Miałem nadzieję, że dokładnie w tem miejscu, gdzie mój pasażer powinien był skoczyć, znajdę zdradziecki odcisk stopy; to też doznałem srogiego zawodu, gdy po zbadaniu gruntu odkryłem tylko ślady, nic nie mówiące; jakichś grubych chłopskich butów, trójkątnych gwoździ, kamaszków Mac Phersona i głęboko wryty ślad amerykanów Bailey'a. Ostatecznie jednak przy wielkiej cierpliwości udało mi się odróżnić w tej plątaninie śladów jakieś niewyraźnie zarysowane dwa odciski obuwia mojego zbrodniarza. Ale też tylko tyle.

Miałem właśnie okrążyć park, by się przekonać, czy łotr nie uszedł gościńcem ku Somerset, gdy zauważyłem na piasku ślad pneumatyków automobilu.

— Ej, do licha! — mruknąłem — to zbrodniarz iście modern, teraźniejsi łotrzy jeżdżą automobilami... tak, tak, to postęp!

I zacząłem śledzić przerywane linie, które gumowe koła wycisnęły na drodze. Nagle ze złością uderzyłem się po udzie. Ależ też roztargniony jestem, że aż wstyd!... Te ślady... Ależ to my sami wyzuaczyliśmy je, jadąc do willi automobilem pana Crawforda!... Na szczęście nie było świadka mojej pomyłki i rad byłem, że mojego milionera natchnęło coś, że pozostał w domu... Jednakże nie kontent byłem ze siebie i szedłem dalej z głową spuszczoną, jak zawstydzony wyżeł. Ta pozycya skłaniała mnie pomimowoli do śledzenia w dalszym ciągu poczwórnej kolei gumowych kół — kolei, która wiła się przed moimi oczami, to biegnąc równolegle, to krzyżując się w falistych zagięciach. Ślady te były miejscami bardzo wyraźne, środkiem równoległa i gładka linia kół przednich, po bokach szersza kolej tylnych kół.

Nagle jednakże, baczny wciąż, odczułem pewną wątpliwość. Czy też to były ślady jednej tylko maszyny? Wkrótce wątpliwość ta przeszła w przypuszczenie, a przypuszczenie zamieniło się w pewność. Dwa automobile skrzyżowały się na tym piasku, a ich ślady wchodziły kolej w kolej, lub rozmijały się dowolnie. Tylko że, dziwny zbieg okoliczności, pneumatyki obu maszyn do tego stopnia były podobne, iż nic dziwnego, że odrazu nie rozróżniłem ich śladów. Zachodziło tu więcej, niż podobieństwo, tu była zupełna tożsamość... W istocie zaś jeden tylko automobil przejeżdżał tędy, przejechał jednakże dwa razy... a raczej, ściślej mówiąc, trzy razy, bo raz tam i z powrotem, a drugi raz tylko tam... Zupełnie świeże ślady pochodziły od dopiero co odbytej jazdy naszej z Broodwest do Green-Park. Zagadką były dawniejsze ślady.

Niechaj nikogo nie dziwi ta pewność, z jaką mówię o śladach, zaledwie zaznaczonych na kurzu gościńca. Dobry detektyw, to rodzaj uczonego, który znać musi metodę analityczną. Czyż Cnoier nie odtwarzał całych gatunków zwierząt na podstawie jednego zęba? Z niejakich danych zresztą czerpałem wskazówki. Pneumatyki, które przeszły tędy, pochodzenia były amerykańskiego. Dość wyraźnie rozróżnić można było ich markę fabryczną, prostokąt podłużny, powtarzający się co pewien odstęp, w środku którego odgadywałem raczej, niż odczytywałem, imię fabrykanta, „Beeston“. Zresztą odnajdywałem wszędzie przed tym prostokątem jakiś motyw w kształcie kota, z czemś, jak gdyby figurą skrzydlatą w pośrodku. Ten szczegół miał swoje znaczenie, gdyż w śladach, które maszyna wycisnęła na drodze, okrągły znak, towarzyszący marce fabrycznej, wypadał zawsze, z mojego punktu widzenia, na prawo od prostokątu i stosunek tych obu znaków był takiż sam w pasie dawniejszych kolei, co dowodziło, że ten sam automobil, albo drugi, zupełnie podobny, jechał tędy już raz pierwej do willi w Green-Park.

Ale były tam jeszcze i inne koleje, wyciśnięte w kurzu gumowemi kołami. I w tych odnależć było można tę samą winietę czworoboczną i ten znak skrzydlatego kota, tylko tym razem ten znak leżał na lewo od czworoboku, to znaczy w kierunku ku Broodwest. Była to okoliczność ważna. Odwrócenie bowiem tych znaków w stosunku do siebie świadczyło jasno, że w tem miejscu automobil zakręcił. Automobil więc, który dojechał do willi, wrócił także stamtąd. Ślady zaś powrotne zaczynały się dokładnie w tem właśnie miejscu pod murem, gdzie w pośród odcisku rozmaitych podeszew, odkryłem ślad nogi zbrodniarza. Wynikał więc stąd konieczny wniosek: morderca pana Hugona Chancera przyjechał automobilem i to automobilem pana Crawforda.

Ale chociaż logiczny, wniosek ten, tak nieprawdopodobny, nie zadowolnił mnie zupełnie. Poszedłem tedy po wyjaśnienie do samej maszyny, stojącej przed bramą willi, u wejścia do lipowej alei. Wolę ja nieraz rozmawiać z rzeczami niż z ludźmi; rzeczy są ściślejsze od ludzi, bezwzględnie szczere i nie można ich posądzać o żadną stronniczość. Otóż przyjrzawszy się automobilowi, utwierdziłem się w moich wnioskach. Odnalazłem bowiem na pneumatykach przednich kół czworokątny stempel z firmą „Beeston“, a z boku skrzydlate kółko, markę fabrykanta. Pozostawało jeszcze zastanowić się nad tem, czy przypadkiem dwa automobile z gumami z tej samej firmy nie przejechały po drodze ku Green-Park? Przyznaję, że nad tą ewentualnością nie zastanawiałem się długo. Z doświadczenia wiedziałem, że bezwzględne podobieństwo nie istnieje, ani tego rodzaju zadziwiające zbiegi wypadków, na których romansopisarze umieją budować nader wspaniałe efekty. Ja bowiem romansopisarzem nie jestem. Ten rodzaj pneumatyków rzadko jest używany w Australii, gdyż jej mieszkańcy lubią się raczej zwracać do firm angielskich. Zresztą odkrycie pewnego szczegółu utwierdziło mnie jeszcze w pewności, że na dobrą w istocie trafiłem drogę...

Na przedniem prawem kole guma, zadarta widocznie niedawno kawałkiem szkła, wzdymała się lekko i tworzyła obok wyraźnej rysy, małe, ale widoczne wygórowanie, które w pyle drogi musiało zostawiać ślad zagłębiony. Teraz też, szukając bacznie, odnalazłem ten ślad, odciśnięty co odstęp jakichś trzech kroków wzdłuż zaznaczonych kolei. W zupełnie świeżych kolejach z tegoż samego dnia, zagłębienie to było wyraźne, ale odnajdowałem je także, choć nieco zatarte i na tych dawniejszych, wcześniejszych śladach i zawsze regularnie w odstępach co trzy kroki.

Miałem już zatem pewność zupełną. Ten sam automobil jeździł dwa razy do willi pana Chancera, a był to automobil pana Crawforda.

Miałem teraz parę przypuszczeń do wyboru: albo mój szanowny przyjaciel był z wizytą u pana Chancera — to jednak było niedorzeczne przypuszczenie — albo jacyś niegodziwcy przekupili jego służbę, by im pożyczono automobilu, albo też wreszcie ktoś ze służby milionera udawał się potajemnie do Green-Park. I znowu powracałem do mojej pierwotnej myśli: zbrodniarza należy szukać pomiędzy służbą.

Dla rozstrzygnięcia tych wszystkich wątpliwości potrzebowałem koniecznie pana Crawforda pociągnąć za język.

— Otóż to — myślałem sobie — mój Watson więcej, niżby przypuszczał, znajdzie się uwikłanym w sprawę, która detektywowi przymnoży nielada trudności!

Wróciłem tedy do willi, postanowiwszy jednakże, że bardzo dyplomatycznie podpytywać będę bogacza, który, jak wiedziałem, ma swoje drażliwości; mnie bowiem ostatecznie chodziło o to, by on sam mi pomógł odnaleść łotra wpośród ludzi, których darzył zaufaniem.

— Długo pana nie było, mój drogi Dicksonie— rzekł, widząc, że wchodzę.

— Ależ chyba nie!

— I cóż, złapałeś pan swego zbrodniarza?

— Nic nie znalazłem... albo tyle, co nic i rachuję na to, że pan mi dopomoże.

— Jestem na pańskie usługi — odpowiedział, śmiejąc się pan Crawford — ale ja nie widzę, w czembym się panu mógł przydać.

— Owszem... bardzo mi pan pomocnym być może... A więc przedewszystkiem, czy pan znał p. Chancera?

— Nie widziałem go na oczy... i już to przecież mówiłem, drogi panie.

— Bardzo pana przepraszam i niech się pan o to pytanie nie gniewa... To znaczy, że pan nigdy nie był w tym domu?

— Jestem dzisiaj po raz pierwszy... i bardzo tego żałuję, doprawdy! gdyż dom ten zawiera ciekawe zbiory, chociaż nieumiejętnie klasyfikowne.

— Kto panu o tem powiedział?

— Sam się o tem przekonałem. Puściłem się na poszukiwania podczas pańskiej nieobecności.

— Bailey i Mac Pherson pozwoli panu na to?

— Oni mnie sami oprowadzali.

— Doskonale... A więc pan nie słyszał nic o zwyczajach, nic panu nie wiadomo o jakich małych dziwactwach nieboszczyka?

— Przepraszam bardzo... jedno dopiero co odkryłem. Pan Hugo Chancer chował w szafach swoich serwisy z Delft i Kopenhagi, a jadał na prostych restauracyjnych talerzach po parę groszy sztuka.

— To się nie rzadko zdarza — zauważyłem.

— Nie jestem tego zdania... piękne rzeczy są po to, ażeby ich używać... Ja, co do mnie, posiadam srebrny dzbanek królowej Elżbiety i używam go codziennie, robiąc toaletę. Tak, panie Dickson.

Skłoniłem się.

— Milioner! — pomyślałem z pogardą, głośno zaś ciągnąłem dalej:

— I te zbiory są nietknięte?

— Nikt ich nie ruszył. Nie okradziono p. Hugona Chancera.

— Więc cóż pan o tem sądzi?

— Że stary dziwak zasłużył na swój los... Nie umiał używać swojego majątku.

— Nie kwestyonuję tej uwagi, ale ja seryo mówię; niech pan pomyśli, że mój honor w tem, by właściwego mordercę odkryć!

— Cóż ja tu mogę?

— Może pan przyłączyć się do moich poszukiwań.

— Chętnie bym to uczynił, ale już się pan przekonał, że nie jestem bardzo bystry.

Zbliżyłem się do milionera i chwyciłem za klapę jego paltota.

— A teraz... panie Crawford, ja pańskie zdanie zupełnie podzielam... Podejrzenia nasze muszą iść w kierunku personalu tej willi...

— A widzi pan... doszedłeś pan do tego?

— I w tem właśnie — ciągnąłem dalej — pomoc pańska mogłaby mi się przydać.

— O ile, proszę pana?

— Gdyby mnie pan chciał poinformować, jakiego rodzaju i czy uczciwa jest służba p. Chancera.

Milioner aż skoczył.

— Nie zadaję się z lokajami — odpowiedział zlekka dotknięty.

— Ależ nie — broniłem się — nie pan, naturalnie, ale może mają z nimi stosunki ludzie, będący w służbie u pana!...

— Moim ludziom nie wolno utrzymywać stosunków poza domem.

— Za dnia... ja nie mówię... ale w nocy?

— Ja nigdy nie nocuję za domem.

— Przypuśćmy... ale podczas gdy pan śpi?

— Mam niezawodny sposób do rozciągania nadzoru nad moją służbą, nawet wtedy, kiedy śpię.

— To nadzwyczajne, doprawdy!

— Ale tak jest!

— Więc ręczy pan za swoją służbę?

— Jak za samego siebie.

Już dłużej nie nalegałem. Zaufanie milionera do swojej służby i do swoich sposobów kontroli było wprost wzruszające. To też rozumowałem bardzo prosto: Pan Crawford bez najmniejszego cienia wątpliwości, nigdy do dziś dnia nie był w willi pana Chancera, a jednakże ktoś był w tej willi jego automobilem. Ażeby użyć tak ściśle osobistej własności, jak czyjś powóz, trzeba na to pozwolenia kogoś z domowników, albo też samemu być domownikiem. Najoczywiściej zaś jazdę tę odbył ktoś bez wiedzy pana Crawforda. Kto się ukrywa, miewa zazwyczaj powód do tego, a indywiduum, które w tych warunkach udawało się do Green-Park, udawało się tam przeto w złych zamiarach.

Otóż stała się zbrodnia, której data schodziła się dokładnie ze śladami kół gumowych na drodze... Czyż więc nazbyt lekkomyślnem byłoby twierdzenie, że to indywiduum, które się ukrywało, musiało być właśnie mordercą i że ten, który tak łatwo skorzystał z automobilu pana Crawforda, musiał być jego domownikiem?

Gdybym był mógł otwarcie wyłożyć bieg moich myśli szanownemu sąsiadowi mojemu, byłbym go prawdopodobnie bajecznie zadziwił; jednakże nie pozwalała na to przezorność, jedna z naczelnych cnót mojego zawodu; nie należało bowiem zrażać go do siebie, raniąc jego drażliwość. Milioner wydawał mi się nazbyt pewnym uczciwości swego otoczenia, nazbyt ufnym w swoją doskonałość wzorowego pana domu, ażeby było bezpiecznie chcieć zachwiać to jego mniemanie. Z pewnością w takim razie chciałby mnie zaszachować i wprowadziłby mnie w błąd może nawet, by dowieść, że nie mam słuszności. Mam to bowiem za zasadę, że źle na tem wychodzi, kto drażni miłość własną próżnego człowieka.

To też postanowiłem działać chytrze i ostrożnie, by wymiarkować, na kogo z jego służby skierować podejrzenia. Oświadczyłem więc Bailey'owi i Mac Pherson'owi, że ukończyłem śledztwo i wróciliśmy do automobilu. Pan Crawford, podobnie jak i w tę stronę, skoczył na kozioł i zabrał się do prowadzenia. Ruszyliśmy, ja zaś po drodze skorzystałem ze zwierzenia, które mi uczynił i postanowiłem doprowadzić go pomału do kwestyi, która mnie zajmowała.

— A więc pan zawsze sam powozi — rzekłem — i ma pan słuszność... zawsze to bezpieczniej, gdyż nie sądzę, by w pańskiem położeniu, chodziło tu o oszczędność na płacy szofera.

— Trzymam owszem szofera, ale poprostu ze względu na reparacye i na czyszczenie; on jednak zawsze zostaje w domu... nie lubię bowiem mieć ze sobą woźnicy.

— Najzupełniej pana rozumiem, zwłaszcza że szoferzy często przybierają wobec panów rolę, jakiej nie grali nigdy dawniejsi stangreci.

— I to zupełnie niesłusznie się dzieje, wierzaj mi pan!

— Owszem, bardzo wierzę, drogi panie... ale pański przynajmniej posłuszny jest i na swojem miejscu?

— Jest to wcale dobry mechanik... ale ja go używam i do innych robót. Arogancya szoferów stąd właściwie pochodzi, że zamykają się w swoim fachu i pozują w swej próżności zawodowej na dyplomowanych inżynierów.

— Ale u pana naturalnie niema o tem mowy?

— Ależ nie... mój szofer jest moim sługą, gdyż ja go płacę.

Mój milioner nadymał się, wielce ze siebie kontent. Niema to, jak trochę pochlebstwa — wszystko, czego się pragnie, wyciągnie się z człowieka. Poznałem teraz słabostkę mojego sąsiada: ten człowiek, ogromnie bogaty, miał tylko jedną pretensyę; chciał uchodzić w całej Australii za gospodarza najumiejętniej dom prowadzącego. Zgadzało się to zresztą doskonale z miłością domowego ogniska u tego czterdziestoletniego kawalera, pyszniącego się tem, że nigdy za domem nie sypia.

Pozyskałem jego zaufanie i już była pora wyciągnąć z niego jakieś znaczące zwierzenie. Zapytałem tedy bez ogródek:

— I pan jesteś pewien tego człowieka?

— Jakiego człowieka?

— No, tego szofera!

Pan Crawford spojrzał na mnie.

— Dla czego mnie pan o to pyta?... Tak, ja ręczę za niego.

Czułem, że posunąłem się za daleko. Trudno mi



Teraz też szukając bacznie, odnalazłem ten ślad odciśnięty.

już teraz było nawiązać rozmowę o tym, dla mnie interesującym przedmiocie. Nadinspektor Bailey skorzystał z naszego milczenia, by wetknąć mi swoją szpileczkę.

— Mam nadzieję — odezwał się — że dyrektor policyi nie odmówi już teraz pozwolenia na pochowanie zwłok.

Mac Pherson przytakiwał, kiwając głową.

Bailey ciągnął dalej:

— To przecież nie powód, jeżeli człowieka ruszy paraliż, żeby zwłoki jego wystawiać na oględziny publiczne!

Rzecz prosta, że na te docinki nie odpowiedziałem ani słowem. Ze swej strony pan Crawford zdawał się gonić myśl jakąś wielce subtelną, gdyż oczy jego patrzyły coraz bystrzej, jak gdyby chciały coś uchwycić. Ku wielkiemu memu zdziwieniu sam nas znowu sprowadził na ten palący teren, z którego poprzednio niejako uciekał.

— Ja tam, moi panowie, nie jestem taki, jak wy; ja nie mam duszy policyanta ani agenta śledczego... Ja z góry przyjmuję uczciwość u ludzi... służbę moją uważam za ludzi porządnych... w przeciwnym razie nie dopuszczałbym ich do zetknięcia z sobą.

— Rozumie się — przytwierdziłem.

— Nie może inaczej być — ciągnął dalej. — Uważam kucharza mojego za chłopaka, niedostępnego złej myśli, w przeciwnym razie musiałbym się lękać, że on pierwszy mnie otruje.

Uśmiechnąłem się z uznaniem.

— To samo mój szofer, który równocześnie pełni u mnie służbę lokaja — gdyż ja skromnie żyję, moi panowie. Wierzę w to, że to poczciwy chłopak, a przytem bardzo przywiązany.

Już też nie nalegałem więcej, tylko zacząłem rozmyślać. Był więc wśród domowników p. Crawforda, człowiek specyalnie przeznaczony do powożenia automobilem... Był z zawodu mechanikiem, a jego obowiązki lokaja dawały mu jak najlepiej możność wypatrywania chwil wolnych, z których nieobecność, albo nieuwaga pana pozwalała mu korzystać... Ja oto zaś miałem w ręku straszną broń dla stwierdzenia tożsamości tego człowieka z mordercą pana Chancera. Tą bronią w mym ręku — że tak się wyrażę — był odcisk stopy zbrodniarza. Jeżeli jedno dokładnie zgodzi się z drugiem, dzieło moje skończone; przyjdzie już tylko wziąć za kołnierz właściciela trzewika.

Cała trudność polegała teraz na tem, jak tu ten trzewik pozyskać! Więc przedewszystkiem trzeba zbliżyć się do owego szofera i stanąć z nim na stopie zażyłej. Ale to była sprawa delikatna... Jakżeż ja mogłem dostać się incognito do domu tak dobrze pilnowanego, jak nim być musiał, zdaje się, dom pana Crawforda? Nie mogłem nawet pomyśleć o tem, by stawić się tam pod własnem nazwiskiem. Przyjętoby mnie, jak już wiele razy, w salonie albo w fumoirze, albo może na werandzie, nigdy zaś w gospodarskiej części domu, ani w pobliżu pokoi służby.

— — — — — — — —

Pojechaliśmy do Broad-West.

Pan Crawford, nie zatrzymując się, przyjechał przed swoją willę, która to willa jest rodzajem szaletu w stylu norwegskim, bardzo pięknie zbudowanego u wjazdu do miasta. Chciał mnie koniecznie odwieść aż do mojego domu, leżącego nieopodal. Obszerne tylko ogrody i kawał cienistego parku dzieliły nas od siebie. W połowie drogi obaj policyanci wysiedli i poszli brukowaną ulicą ku środkowi miasta. Nie wiedząc wreszcie co robić, gotów już byłem wypowiedzieć poprostu panu Crawfordowi moje podejrzenia co do osoby jego szofera i cokolwiekby on o tem myślał, wystawić mu konieczność dalszego śledztwa w jego domu, gdy on się nagle do mnie odezwał:

— Otóż jesteś pan w domu, panie Dickson. Zawdzięczam panu bardzo miłe poobiedzie, spędzone z człowiekiem tak zajmującym i tak inteligentnym... Pan zapewne jutro poszukiwania swoje będzie ciągnął dalej?

— Tak jest i to gorliwie, za to panu ręczę!

— Żałuję bardzo, że nie będę mógł towarzyszyć panu, gdyż interesa zmuszają mnie wyjechać na dzień cały.

Uradowałem się w duszy, lecz nie zdradziłem mej radości.

— Więcej od pana żałuję tego — odpowiedziałem — ale pan sam rozumie, że ja do powrotu pańskiego poszukiwań moich odkładać, niestety, nie mogę.

— To zupełnie naturalne... względy zawodowe przedewszystkiem... Jestem nawet za tem, byś się pan pośpieszył, choćby już dlatego, by ten biedny nieboszczyk doczekał się należnego mu pogrzebu!

Podziękowałem panu Crawfordowi za jego dobre słowo i pożegnaliśmy się uściskiem dłoni.

Rozdział IV.

Nazajutrz około dziewiątej rano, człowiek, w którym po czerwonej kamizelce w czarne kraty poznać było można odrazu stangreta albo chłopca stajennego, zatrzymał się przed boczną furtką possesyi pana Gilberta Crawforda.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zgon uczonego.

(Do illustracyi na str. 10).

Jak doniosły telegramy, zakończył życie w dniu 28 sierpnia w swej willi w San Farenzo znany antropolog i fizyolog o światowej sławie, Paweł Mantegazza.

Urodzony dnia 31 października 1831 r. w Monzy we Włoszech, studyował medycynę w Pizie, Medyolanie i Pawii, poczem odbył podróż po Europie, po ukończeniu której w r. 1854 ogłosił drukiem pierwsze swe dzieło: „La fisiologia del piacere". Przeniósłszy się do Ameryki Południowej rozpoczął tu praktykę lekarską, którą kontynuował, powróciwszy w r. 1858 do kraju i osiadłszy w Medyolanie. W r. 1860 zamianowano go profesorem patologii w Paryżu, w dziesięć zaś lat później powołano na katedrę antropologii w „Instituto di studii superiori" we Florencyi. Tutaj, dzięki niestrudzonym zabiegom uczonego, powstało muzeum antropologiczno-etnograficzne i takież towarzystwo. W późniejszych latach zwiedził jeszcze dwukrotnie Amerykę, Japonię i Indye Wschodnie, przez dziesięć lat brał też udział w życiu publicznem jako poseł do włoskiego parlamentu, od roku 1876 zaś jako senator.

Spuścizna literacka po Mantegazzie jest wcale pokaźna. Są to przeważnie dzieła i rozprawy o treści fizyologicznej, wrażenia z podróży i fantastyczne romanse. W literaturze reprezentował on kierunek tak zwany pseudo-naukowy; dzieła jego są to przeważnie fantazye literackie na naukowem podłożu, podobnie jak utwory Flammariona. Tłómaczono je na różne języki europejskie, między innemi i na polski. W polskim przekładzie wyszły: „Fizyologia rozkoszy", „Sztuka długiego życia", „Wiek obłudy", „Hygiena piękności", „Wiek nerwowy", „Potęga prawa ludzkiego".

Pisywał także i powieści fantastyczne, które jednak, jak n. p. „Rok 3000", wykazują brak poetyckiego polotu i nie wytrzymują porównania z podobnemi pracami Vernego, na życie zapatrywał się jednak dość prozaicznie i podobnie jak wielu z nas, nie był wcale wielbicielem... teściowych.

W dziele swem o fizyologii miłości zaznaczył między innemi, że za żonę chciałby mieć Włoszkę, za matkę Niemkę, za siostrę Angielkę, za kochankę Francuzkę. Gdy w pewnem towarzystwie wywiązała się na ten temat rozmowa, a dyskusya nie przyniosła żadnych pozytywnych rezultatów, jeden z uczestników zauważył, że ciekawą byłoby rzeczą wiedzieć, jakieby było zdanie Mantegazzy co do teściowej, to jest, jakiej narodowości odpowiadałaby ego usposobieniu. Postanowiono napisać w tej sprawie list do uczonego i po kilku dniach otrzymano następującej treści odpowiedź: „Jako teściowej, nie chcę żadnej! Z przyjacielskiem pozdrowieniem Mantegazza". *Si non e vero, e ben trovato!*

Paryscy radni we Wiedniu.

(Do illustracyi na str. 10).

W piątek dnia 2 września br. przybyła do Wiednia deputacya paryskiej rady miejskiej, od dawna już zapowiedziana. Na zachodnim dworcu kolejowym zebrali się przedstawiciele rady miejskiej wiedeńskiej i członkowie komitetu przyjęcia pod przewodnictwem burmistrza Neumayera i trzech wiceburmistrzów, którzy wystąpili w złotych łańcuchach urzędowych.



Cesarz rosyjski na wakacyach: Rodzina cesarza Mikołaja II. na przejażdżce w Friedbergu.

Przybyło sześciu Paryżan, prezydent rady municypalnej Leopold Bekan, wiceprezydent Adryan Oudin, sekretarze Emil Massard i d' Andigné, syndyk Ernest Gay i szef gabinetu prezydenta René Weiss. Trzech nadto usprawiedliwiło swą nieobecność, bądź to słabością, bądź też zawodowemi przeszkodami.

Burmistrz Neumayer powitał miłych gości w imieniu miasta Wiednia, odpowiedział na to prezydent Bekan, wyrażając radość z powodu przybycia i poznania pięknego miasta oraz dziękując za serdeczne przyjęcie. Zwiedzono potem zamek cesarski i z powodu spóźnionej pory udano się na spoczynek.

W sobotę nastąpiło oglądanie osobliwości stolicy, a popołudniu o pierwszej odbyło się na cześć gości śniadanie u posła francuskiego przy dworze austryackim, Croziera. Wzięli w niem udział także burmistrz Neumayer i wiceburmistrze Porzer, Hierhammer i Hoss. W czasie uczty zaznaczył poseł Crozier, iż z radością widzi u siebie przedstawicieli dwu europejskich stolic, wspomniał o wydatnej pomocy, z jaką Wiedeń pospieszył Paryżowi z okazyi zeszłorocznej powodzi i poświęcił wspomnienie nieodżałowanemu dr. Luegerowi.

Niedzielny poranek obrócono na zwiedzenie Schönbrunnu, stąd udano się do Lainz, gdzie mieści się zakład zaopatrzenia, urządzony przez gminę wiedeńską. Zwiedzono także krajowe zakłady lecznicze w Steinhof, gdzie przyjmował gości członek wydziału krajowego Bielohlavek i wystawę łowiecką.

Z podziękowaniem za serdeczne przyjęcie i wyrazami uznania dla wszystkiego, co widzieli, opuścili goście naddunajską stolicę.

Cesarz rosyjski na wakacyach.

Jak wiadomo, cesarz rosyjski Mikołaj II. bawi od kilkunastu dni wraz z całą swą rodziną w Hesyi, w miejscowości Friedberg, jako gość wielkiego księcia heskiego Ernesta Ludwika.

W pierwszych dniach pobytu w Friedbergu ludność miejscowa przyglądała się z ogromną ciekawością monarsze Rosyi, co oczywiście krępowało swobodę cesarza, który chciał wypocząć zdala od wszelkich spraw publicznych i w ciszy małej mieściny. Obecnie, na skutek starań policyi heskiej, publiczność trzyma się zdala od miejsca przechadzek cesarza i jego rodziny.

Cesarzowa Aleksandra, której zdrowie w ostatnich czasach szwankowało, rozpoczęła kuracyę pod okiem kilku znakomitych lekarzy.

W. książę heski stara się swoim gościom uprzyjemnić pobyt w Friedbergu i dostarczyć jak najwięcej rozrywek. Piękna okolica i doskonałe powietrze zadanie to ułatwiają. Przeważnie też spędza rodzina cesarska czas pod gołem niebem, korzystając z pięknej pogody. Miejsca ku temu dość, bądź w parku pięknym, otaczającym zamek w Friedbergu, bądź w okolicy, dokąd rodzina cesarza urządza wycieczki pieszo lub powozami względnie automobilami.



Cesarz rosyjski na wakacyach: Śniadanie w parku zamku w Friedbergu; (X) cesarz Mikołaj II.

Kronika tygodniowa.

(Jeszcze o mowie królewieckiej. — Czy zmieni się polityka rządu pruskiego. — Rozpoczynający się sejm a kanały. — Cobyśmy zrobili z pieniędzmi. — Ankieta w sprawie nędzy żydów. — O czem raczej powinno się myśleć. — Kto biedniejszy? — Drożyzna i środki zapobiegawcze. — Brak solidarności. Związek ekonomiczny i jego znaczenie. — Mięso z Argentyny. — Jaką raczej zwołać ankietę. — Kiedy stosunki się poprawią. — Arystokracya bierze się do pracy. — Cholera, sejmy i Rada państwa.)

Królewiecka mowa, która narobiła swojego czasu tyle wrzawy w całym politycznym świecie, przebrzmiała bez echa, być może tylko na razie, dopóki nie zbierze się niemiecki parlament. Do tego czasu pan Bethmann Hollweg będzie mógł spać spokojnie, chyba, że uda mu się przekonać społeczeństwo, że to rzeczywiście przemawiał nie cesarz niemiecki, ale jegomość król pruski. Natomiast prasa polska zastanawia się ciągle nad tem, jakie wnioski na przyszłość wysnuć należy z okazyi pobytu cesarza niemieckiego w Poznaniu. Na ogół są politycy zdania, że w dotychczasowej antipolskiej polityce rządu pruskiego zajdzie zmiana dla Polaków korzystna. Jedni twierdzą, że cesarz w rozmowie z prezydentem komisyi kolonizacyjnej Dr. Gramschem, gdy ten wskazał na konieczność wywłaszczenia polskich majątków, zachował się z rezerwą i nie dał żadnej pozytywnej odpowiedzi, inni natomiast utrzymują, że przez półtorej godziny rozmawiał z nim w tej sprawie. Zachodzą także wszyscy w głowę, kto będzie mieszkać na poznańskim zamku, oficyalne jednak sfery zachowują głębokie milczenie, choć opinia publiczna desygnowała już na stanowisko poznańskiego rezydenta młodszego syna cesarskiego księcia Eitla Fryderyka. Tak będzie, czy owak, dla nas nie wyniknie z tego nic dobrego, trudno bowiem przypuścić, aby zmieniły się tendencye rządu pruskiego, w zupełnej sprzeczności stojące z naszemi zapatrywaniami. Niemiecki „Drang nach Osten“ może na chwilę przycichnąć, zawsze jednak zostanie dyrektywą dla tamtejszej polityki i lada chwila wybuchnie ze zdwojoną siłą. Ludzie, lubiący patrzyć na wszystko z optymistycznego punktu widzenia, przepowiadają złote dla Polaków czasy, łatwo jednak możemy wyjść na tem źle, gdyż uśpi się dotychczasową czujność, a wróg tylko na to czeka. Polak i Niemiec, to dwa zupełnie przeciwne bieguny, nie mające ze sobą nic wspólnego; nawet najbardziej ugodowo usposobiony potomek Krzyżaków uważa każdego Słowianina za coś pośledniejszego.

Tak samo zresztą usposobieni są wobec nas i austryaccy Niemcy, przyzwyczajeni od dawna do tego, że na przykład Galicya jest krajem przeznaczonym do płacenia podatków, nie mającym jednak żadnego prawa do jakichś ze strony centralnego rządu rekompensat. Przyznać też trzeba, że nasi przedstawiciele we Wiedniu nie lubią się naprzykrzać rządowi, kontentując się ochłapami, jakie spadają z pańskiego stołu. Orderek lub marny tytulik zaspokaja w zupełności ambicyę każdego z nich, sprawy publiczne schodzą z zasady na drugi plan.

Widzimy to dokładnie zawsze i wszędzie, a najlepszy dowód mamy na owej nieśmiertelnej sprawie kanałowej, która wyleżawszy się spokojnie przez lat dziesięć na biurkach różnych ministrów, powoli przechodzi w stan spoczynku. Wielcy nasi politycy przyszli do przekonania, że wody mamy dość, nie potrzebujemy więc kanałów, odszkodowanie zaś obciąży tylko budżet państwowy, więc odbije się niekorzystnie na kieszeniach c. k. podatników. Tak sądą Niemcy, w ślad za nimi idą Rusini, a nawet ludowcy, którzy obecnie stali się partyą, idącą ręka w rękę z centralnym rządem. Rozpoczynająca się niebawem sesya sejmowa będzie również usposobiona kanałowo, naturalnie w myśl intencyi rządowych, to jest, aby sprawę o ile możności przewlec, dopóki nie pójdzie w zapomnienie.

Choćby zresztą wysokie władze wyasygnowały nawet owe sto dwadzieścia milionów, które mają być rekompensatą za kanały, ciekawy jestem, cobyśmy zrobili z tymi pieniądzmi, każde bowiem ze stronnictw chciałoby je dla swych celów, nie mówiąc już o tem, że Rusini, choć przeciwnicy kanałów, mają przecież pretensyę do lwiej części odszkodowania i ułożyli nawet preliminarz, na co je obrócą. Pocieszajmy się jednak nadzieją, że rząd obiecuje zawsze dużo, ale na tem się zwykle kończy, bo potem pokazuje się, że akurat brakuje w kasie monety, a to jest, jak wiadomo, nasza chroniczna słabość, na którą nie pomoże ani Erlichowskie 606, ani żaden inny specyfik. Wartoby w tej kwestyi urządzić ankietę, ciekawa rzecz, co powiedzieliby wówczas nasi „wielcy“.

Przy tej sposobności wspomnieć należy o ankiecie, zwołanej przez Wydział krajowy, a mającej się zająć sprawą nędzy pośród ludności żydowskiej w Galicyi. Przysłowie wprawdzie powiada, że „bliższa koszula ciała“, u nas jednak zaczyna się zwykle od surduta. Jeśli ma być mowa o nędzy, zacznijmy przedewszystkiem od naszej wiejskiej ludności, która rzeczywiście bieduje, dzięki temu, że każdy myśli o wszystkiem innem, tylko nie o tem, co najbardziej dolega. Gdyby nasz przemysł rozwinął się należycie, a są wszelkie po temu warunki, nie potrzebowalibyśmy oglądać się poza siebie, niestety jednak nikt o tem nie myśli, a Wiedeń w obronie niemieckich przemysłowców paraliżuje wszelkie w tym kierunku usiłowania. Zresztą brak u nas inicyatywy, a każde szlachetniejsze usiłowanie gasi się natychmiast, bo „mogłoby się c. k. rządowi nie podobać“. Siedmiu braci śpiących byliby najlepszym patronem królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem.

Owa żydowska ankieta, odłożona z połowy września na październik, będzie w każdym razie ciekawą, u nas jednak zabierają zazwyczaj głos wszyscy inni, tylko nie ci, których się pytać powinno. Jeśli porównamy ludność żydowską w Galicyi z ludnością chrześcijańską, przyznać musimy, że stosunkowo pierwsza ma się znacznie lepiej, posiada bowiem sporą dozę przedsiębiorczości, której nam brakuje. Najbiedniejszy żyd jest o wiele lepiej sytuowany, niż średnio zamożny katolik, dodać do tego należy, że ich społeczeństwo, dzięki solidarności, której my nie znamy, stoi o całe niebo wyżej od nas.

Solidarności nam zaś potrzeba na każdym kroku, choćby tylko wziąć na uwagę rozpoczynającą się w Krakowie walkę z drożyzną. W ostatnich czasach tak podskoczyły w cenie wszystkie środki spożywcze, iż egzystencya dla średnio zamożnego człowieka staje się wprost niemożliwą. Mięso dochodzi już do guldena za kilogram, a mimo to obiecują ciągle rzeźnicy, że jeszcze podrożeje, bo ceny bydła idą w górę.

Wobec grożącej nam ruiny finansowej zaczyna się i nasze społeczeństwo budzić powoli z wygodnej drzemki, aby stanąć do walki z wyzyskiem. W tym celu odbył się onegdaj wiec w Czytelni dla kobiet imienia J. Słowackiego, w którym wzięło udział wiele pań i zaproszonych gości. Chodziło o naradę nad środkami walki z ogólną drożyzną, a przedewszystkiem z drożyzną mięsa. Na porządku dziennym postawiono kwestyę organizacyi pań i gospodyń, celem zawiązania stowarzyszenia konsumcyjnego, któreby objęło szerokie warstwy społeczeństwa i rozpoczęło skuteczną walkę z obecną drożyzną. Wyłoniła się nader ożywiona dyskusya, w której przestrzegano, aby rozpoczęta akcya nie była tylko objawem chwilowego zapału i tak u nas popularnego słomianego ognia.

Właśnie w tym wypadku można mówić o solidarności, bo jeśli gdzie, to tutaj jej potrzeba. Piękny jej przykład dali mieszkańcy Krems z okazyi bojkotu rzeźników i ostatecznie osiągnęli upragniony skutek, panom majstrom rzeźnickim zmiękła wreszcie rura. Krems jednak co innego, Kraków co innego. Jakże u nas zniosłaby pani radczyni, żeby razem z nią zasiadała w wydziale jakaś tam kanceliścina, lub broń Boże, gdyby tak piastowała jeszcze jakąś godność!...

Słusznie także podniósł jeden z mowców, że członkowie nowego stowarzyszenia, jeśli chcą działać skutecznie, muszą się wyzbyć ogólnych wad członków różnych towarzystw, którzy, jeśli nie opanowani są apatyą i brakiem poczucia solidarności, to uważają swój współudział w pracy jako łaskę, świadczoną towarzystwu. Na prezesów i dyrektorów jest zawsze wielu kandydatów, na osobnikach, któreby chciały wziąć się energicznie do pracy, zawsze nam zbywa.

Istnieje wprawdzie w Krakowie „Związek ekonomiczny urzędników“, który dostarcza swym członkom niezbędnych artykułów, jak: węgla, mięsa, wędlin po znacznie zniżonych cenach, bo dochodzących nieraz 50 proc. poniżej cen sklepowych, wykazano jednak dowodnie, że instytucya ta nie cieszy się takiem poparciem, na jakie zasługuje. Zwłaszcza podnoszono brak pań i ich współdziałania w związku. Gdyby nasze czcigodne żony, ciotki, córki i jak się tam zresztą nazywają, wzięły się energicznie do roboty i one osiągnęłyby cel upragniony.

Wiele pomódz mogą także nasi przedstawiciele w Radzie państwa, mianowicie w kwestyi otwarcia granic państwa dla dowozu bydła i mięsa. Agraryusze, a za nimi ich przyjaciele, np. ludowcy, ani słyszeć nie chcą o czemś podobnem, bo rzekomo stałaby im się krzywda. Owa tragiczna historya z mięsem argentyńskiem, jak się zdaje, skończy jak zwykle u nas na uwiąd starczy i powędruje do aktów. Jakiem zaś dobrodziejstwem, zwłaszcza dla biedniejszej ludności, byłoby pozwolenie dowozu, przekonać się możemy z okoliczności, że według obliczeń funt mięsa argentyńskiego kosztowałby w Krakowie czterdzieści halerzy, wliczywszy w to już koszta transportu z Argentyny.

Podobnie jak z mięsem, dzieje się z pieczywem i innymi artykułami spożywczymi oraz węglami. W miarę drożenia jednych, drożeją i drugie. W restauracyach podskoczyły także ceny i doszło do tego, że człowiek nie wie, czem się zachwycać, wysokością ceny, czy drobnymi rozmiarami potrawy. Czy zboże i bydło tańsze jest, czy droższe, ceny mięsa i pieczywa idą zawsze w górę; chcąc dojść do jakiegoś, bodaj najskromniejszego dobrobytu, trzeba się odzwyczaić od jedzenia, a to pono niełatwo.

Z tego wszystkiego widzi każdy, że zamiast zwoływać ankietę, która miałaby się zająć kwestyą ulżenia nędzy żydowskiej, zdałaby się raczej ankieta, zastanawiająca się, co począć, aby ulżyć niedoli ludności chrześcijańskiej, której wiedzie się daleko gorzej, niż żydom, na handlu i różnym, mniej lub więcej z kodeksem karnym wchodzącym w kolizyę przemyśle, dorabiającym się majątku. Gdyby owi filantropi i opiekunowie ludu, zamiast tylko dużo mówić, wzięli się do poprawy obecnych stosunków, Galicya wyglądałaby zupełnie inaczej i setki tysięcy naszych rolników nie potrzebowałyby szukać chleba za oceanem!

Powiadają ludzie, że jednak będzie jeszcze kiedyś dobrze, mianowicie wówczas, gdy zniesie rząd propinacye i ponadaje wyszynkowe konsensy. Ci szczęśliwi, którzy takiego zaszczytu dostąpią, a są między nimi hrabiowie i książęta, będą rzeczywiście mogli mówić o dobrobycie, my zaś, którzy będziemy tylko na nich pracować, zostaniemy *in statu, quo ante!*

Przy okazyi konsensów szynkarskich przekonaliśmy się, że nasza arystokracya demokratyzuje się gruntownie, kto bowiem słyszał dawniej o tem, aby iść na przykład do Lubomirskiego na wódkę, albo do Dzieduszyckiego na kiełbasę z kapustą. To przecież także postęp, skoro i potomkowie tak znakomitych rodów zabierają się do pozytywnej pracy dla dobra ludu!...

Z kolei należy poświęcić gorącą wzmiankę kochanej cholerze, która nic sobie nie robi z zakazów namiestnika i maszeruje z każdym dniem coraz to bliżej i bliżej... Na godne przyjęcie poczyniono już różne zarządzenia sanitarne, na nic one jednak się nie zdadzą, jeśli ogół nie będzie ich najdokładniej przestrzegał. Nie są one przeznaczone dla trapienia ludności, lecz dla jej ochrony, choć więc są może nieraz i przykre, trzeba się im poddać. Gdybyśmy doznawali samych tylko w życiu przyjemności, wnetby nam się sprzykrzyły... W Rosyi obliczają wypadki zasłabnięcia na setki tysięcy, we Włoszech rozszerza się ona także dość groźnie, w Austryi było dotąd kilka zasłabnięć, które skwalifikowano jako cholerę azyatycką, na szczęście jednak jakoś na ogół jest spokojnie.

Politycy nic sobie nie robiąc z cholery, zaczynają myśleć o jesiennej kampanii sejmowej i parlamentarnej, które odbędą się pod znakiem kanałowym. I tu i tam spodziewaną jest burza. Rząd potrafi ją jednak jakoś zażegnać. Ciekawem będzie stanowisko Rusinów w tej kwestyi, tak samo jak i ludowców, którzy, idąc za dyktandem, oświadczyli się przeciw proponowanej budowie, jako nie mającej dla kraju nijakiego znaczenia. Pan Stapiński ze swym sztabem generalnym tworzy obecnie najlojalniejszą partyę rządową, aby w ten sposób odwdzięczyć się panu Bilińskiemu za pomoc przy ratowaniu śp. Banku parcelacyjnego. Wdzięczność jest cnotą bardzo piękną, jednak nie w tym gatunku, co wyżej wspomniana!

X.

Zarządzenia sanitarne na kolejach państwowych.

Ponieważ epidemia cholery zatacza coraz to szersze kręgi i ciągle żyjemy w obawie, że lada chwila zostanie i do nas zawleczoną, zarządzono najdalej idące środki ochronne, mające na celu jej powstrzymanie. Główną uwagę zwrócono na wozy kolejowe, którymi przyjeżdża wiele osób z okolic nawiedzonych zarazą. Wozy takie po zaplombowaniu odsyłane bywają do warstatów kolejowych do Nowego Sącza, gdzie wyszkolony personal sanitarny pod kierownictwem lekarza kolejowego dra Korpantego, przybrany w specyalne mundury ochronne, wykluczające prawie zarażenie się i zaopatrzony w aparaty i środki desynfekcyjne, wchodzi do środka i desynfekcyonuje je nader dokładnie.

Następnie zamyka się te wozy nader szczelnie i tak pozostają przez dni czternaście, poczem dopiero po dokładnem wymyciu oddane zostają do publicznego użytku.

Prócz tego zaprowadzono w ważniejszych miejscowościach pogranicznych stały dozór lekarski, a każdy z pasażerów, który pochodzi z okolic nawiedzonych cholerą, przez kilka dni pozostaje pod obserwacyą. Gdy się pokaże, że jest zdrów, może się poruszać swobodnie, w razie jakiegoś podejrzanego wypadku umieszcza się go w baraku izolacyjnym.

Koszta urządzeń anticholerycznych obciążyły budżet kolejowy, mamy jednak nadzieję, że właśnie dzięki im pozbędziemy się niemiłego gościa, który zagraża nam ze wszystkich stron, najbardziej zaś sroży się w powiatach rosyjskich i we Włoszech. Kilka podejrzanych wypadków w Galicyi, o których donosiły nasze pisma codzienne, okazały się po zbadaniu bakteryologicznem zwykłą biegunką lub też tak zwaną *cholerą nostras*.

Zjazd w Ischlu.

Jak już poprzednio donieśliśmy, przybył do Ischlu włoski minister spraw zagranicznych, margrabia du San Giuliano, aby przedstawić się cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Był to dalszy ciąg polityczmej wizyty, która rozpoczęła się w Salzburgu a wypadła bardzo pomyślnie, pokazało się bowiem, że stosunki między Austryą i Włochami nie są tak naprężone, jakby się zdawało.

Konferencya obu ministrów miała na celu obmyślenie warunków, któreby umożliwiły życie sąsiedzkie, postanowiono też, że będzie odtąd wolno i jednej i drugiej stronie przekroczyć granicę w razie potrzeby pokrzepienia się w gospodzie lub odpoczynku.

Cesarz przyjął włoskiego ministra bardzo serdecznie i zatrzymał go dłuższy czas w swym gabinecie, po raz drugi spotkał go jeszcze na dworcu kolejowym, bezpośrednio przed odjazdem, dokąd cesarz przybył wraz z swymi wnukami. Na powitanie obu ministrów odpowiedział cesarz ukłonem i życzeniami „szczęśliwej podróży".

Po powrocie do Włoch złożył margrabia San Giuliano sprawozdanie wobec rady gabinetowej i stwierdził, że przyjazne stosunki między Włochami a Austryą nie uległy wcale zmianie, a objawem ich było serdeczne przyjęcie, jakiego doznał w Austryi. W niedługim czasie hrabia Aehrenthal będzie rewizytować swego włoskiego kolegę.



Fot. K. Skorupka, Nowy Sącz.

Zarządzenia sanitarne na kolejach państwowych: Służba sanitarna we warsztatach kolejowych w Nowym Sączu, zajęta dezynfekcyonowaniem wozów.

Zgon młodego literata.

W warszawskim szpitalu św. Ducha zmarł na gruźlicę płuc jeden z najmłodszych polskich literatów, ś. p. Mieczysław Srokowski, przeżywszy lat 35.

Ś. p. Srokowski, syn ziemianina, urodził się na Podolu galicyjskiem. Ukończywszy nauki gimnazyalne u OO. Jezuitów w Chyrowie, poświęcił swe zdolności literaturze, a pierwszą jego książką był zbiór utworów poetyckich. Obok poezyi uprawiał też prozę, zamieszczając mnóstwo nowel i szkiców w rozmaitych pismach codziennych i tygodniowych. Z większych rzeczy wydał powieść „Epigoni", oraz „Kult ciała", rzecz która uległa konfiskacie. Ponadto jeden z tygodników warszawskich drukuje obecnie jego najnowszą powieść pod tytułem: „Anachroniści".

Ś. p. Srokowski był literatem bardzo utalentowanym, zgon też jego przedwczesny stanowi poważną stratę dla naszej literatury.

Sezon footballowy.

W pierwszych dniach września rozpoczęły się w Krakowie znowu tak ulubione i takiem wzięciem wśród publiczności, cieszące się matche footballowe, zaczęły się jednak pod fatalnemi dla obu krakowskich klubów sportowych, „Cracovii" i „Wisły", auspicyami. Oba bowiem poniosły w spotkaniach z dwoma czeskiemi drużynami „Spartą" i „Smichowem" z Pragi, dotkliwe porażki.

Że znakomity klub „Sparta" z Pragi pobije „Cracovię", nie mogło ulegać wątpliwości, gdyż żadna z polskich drużyn footballowych nie posiada dotąd takiego treningu, takiego zgrania się, jak pierwszorzędne drużyny czeskie lub wiedeńskie. Nie przypuszczano tylko, że match skończy się przegraną naszej drużyny w stosunku 1 : 15. Przegrana ta była następstwem wielu okoliczności, przedewszystkiem jednak braku należytego treningu. Poprostu „Cracovia" nie przygotowała się należycie do walki z tak poważnym przeciwnikiem, a to się pomścić musiało. Z drugiej strony z naciskiem podnieść należy, że lepiej, by „Cracovia" sprowadzała drużyny silniejsze od siebie i za cenę przegranej, od nich się uczyła, niż schlebiając próżności własnej a jeszcze bardziej próżności publiczności krakowskiej odnosiła łatwe, ale nie wiele warte zwycięstwa nad drużynami małych niemieckich miast. Takie zwycięstwa, odniesione w wiosennym sezonie, stały się właśnie przyczyną, że drużyna „Cracovii", w przekonaniu o swej doskonałości, zarzuciła racyonalny trening i dziś ponosi smutne tego następstwa.

Dwa matche „Wisły" ze „Smichovem" z Pragi były mniej interesujące, gdyż gra tych gości z Pragi stoi na znacznie niższym poziomie niż gra „Sparty". Drużyna „Smichova", złożona z młodzieńców bardzo silnych, ale przeważnie ciężkich, nie miała tej zwinności ruchów, tego szalonego tempa, z jakiem walczyła „Sparta". Atak jej, choć nieźle grany, podprowadziwszy piłkę pod bramkę przeciwnika, nie umiał sytuacyi wykorzystać, nie umiał celnie „strzelać", stąd też „Wisła" poniosła porażkę mniej do-



Zjazd w Ischlu: Ministrowie przed audyencyą u cesarza. Od lewej ku prawej: Merey, austryacki poseł w Rzymie, radca legacyjny hr. Szapary, margrabia di San Giuliano, hr. Aehrenthal, szef gabinetu bar. Fasciotti, włoski poseł we Wiedniu ks. Avarna.



Sezon footballowy: Drużyna „Sparty“ z Pragi.



Zgon młodego literata: Śp. Mieczysław Srokowski.

tkliwą, bo pierwszego dnia w stosunku 1 : 3, a drugiego w stosunku 1 : 6.

O klubach krakowskich trudno na podstawie dwu tych występów wiele powiedzieć. To pewna, że oba one potrzebują jeszcze bardzo sumiennej, bardzo gorliwej pracy. „Cracovia“ ma braki przedewszystkiem w „pomocy“, choć i napad jej ostatnim razem nie odznaczał się dobrą grą. „Wisła“ natomiast ma bardzo dobrą pomoc i obronę, atak zaś stanowczo za słaby.

O wartości obu tych klubów w wzajemnym stosunku zadecyduje match między nimi, który będzie jednym z najbardziej interesujących w sezonie, zwłaszcza w obecnych stosunkach, gdy fatalna przegrana „Cracovii“ rzuciła cień na jej dotychczasową sławę. A do tego matchu między „Cracovią“ a „Wisłą“ powinno stanowczo przyjść i nie wierzymy, by terminu nań zabrakło.



Sezon footballowy: Drużyna „Smichova“ z Pragi.

Krakowski teatr ludowy.

Po czteromiesięcznej kampanii letniej w Parku krakowskim powrócił teatr ludowy pod dyrekcyą p. Rygiera do zajmowanego poprzednio budynku przy ul. Rajskiej. Skoro zaś mowa o tym budynku, to trzeba znowu z całym naciskiem zaznaczyć, że głównym warunkiem już nie rozwoju tego teatru, ale wprost jego dalszego istnienia jest inny, odpowiadający celowi budynek. Trudno istotnie zrozumieć, dlaczego gmina dotychczas, mimo tylokrotnych obietnic, nie zdobyła się na wystawienie gmachu dla teatru ludowego, choć wszyscy uznają jego konieczność, jako czynnika wysoce kształcącego i choć wszyscy przyznają, że budynek specyalny jest dlań niezbędny.

Nowy sezon rozpoczyna dyr. Rygier z personalem artystycznym znacznie zmienionym i „odświeżonym“. Z dawnych sił pozostali najdzielniejsi i najlepsi. Więc doskonała w rolach dramatycznych Grabowska, bardzo sumienna liryczna Gawlikowska, niezrównana charakterystyczna Kolmanówna i ujmująca przepiękną powierzchownością, a wyrabiająca się na bardzo pożyteczną aktorkę, Górska, z mężczyzn zaś wyborny reżyser Turski, Jerzy Rygier, Poleński, Szkudelski, Tatrzański, Sydor oraz dwaj młodzi a coraz bardziej lubiani i cenieni Bończa i Jarniński, cenieni zwłaszcza za staranność i zapał w opracowywaniu powierzonych im ról. Z nowych sił bardzo dodatnio zaprezentowały się dotychczas pp. Wandyczowa i Żarlińska. Pierwsza jest doskonałą wodewilistką i przy bardzo korzystnych warunkach zewnętrznych znajdzie w repertuarze lżejszym dużo pola do popisu, druga wykazała w debiucie swoim duży talent dramatyczny i poważną inteligencyę artystyczną, musi tylko popracować nieco nad akcentem i wymową, co przy widocznem umiłowaniu sceny i szczerych chęciach nie przyjdzie jej trudno. Bardzo dobrym aktorem charakterystycznym jest też pan Czarnowski, były artysta teatrów warszawskich, a pożądanym nabytkiem dla



Sezon footballowy: Drużyna „Wisły“ z Krakowa.

operetki będzie p. Wandycz, którego piękny głos i doskonałą grę ogólnie chwalą.

Nowy sezon w teatrze ludowym zapowiada się tedy bardzo interesująco, zwłaszcza że i repertuar, jak zapewnia dzielny sekretarz i dramaturg p. Wincenty Korolewicz, zawiera dużo dobrych nowości.

Nie wąpimy też, że dotychczasowy zapał dyr. Rygiera nie osłabnie mimo niesmacznych napaści, zainaugurowanych w pewnym odłamie „prasy“ krakowskiej, tembardziej że z opinią tej „prasy“ nikt się nie liczy. Zasługi dyr. Rygiera, jego ofiarność, jego niezmordowana energia i pracowitość zbyt są znane, by rewolwerowe ataki niepowołanych „krytyków“ mogły jej uchybić. Wszak mieliśmy już w Krakowie kilka teatrów ludowych i kilka dyrekcyi, a każdy, nawet najbardziej uprzedzony, przyzna, że najlepsze przedstawienia za którejkolwiek z poprzednich dyrekcyi, były znacznie gorsze, niż najsłabsze spektakle za dyr. Rygiera.

Jeżeli obok sztuk poważnych musi teatr ludowy wystawiać farsy i operetki, to winić o to można tylko publiczność krakowską, która na przedstawienia poważnych sztuk niechętnie uczęszcza. A koszta utrzymania teatru są bardzo wielkie, wkłady, poczynione przez dyr. Rygiera, nie wróciły się dotychczas, co wobec bardzo niskich cen wstępu, jest zupełnie naturalne.

„Krytykować“ — to rzecz bardzo łatwa, ale bardzo trudno pracować w tych warunkach, w jakich pracuje dyr. Rygier. A znając te warunki, krytykować w ten sposób, jak właśnie uczyniono, to rzecz wprost niesumienna.

Ujęcie bandytów.

Szajka złoczyńców i bandytów, którzy przez czas dłuższy niepokoili okolice Kołomyi, którzy dopuścili się kilku napadów rozbójniczych, między innymi na karczmę w Diatkowcach, dostała się wreszcie dzięki energicznemu śledztwu żandarmeryi w ręce władz bezpieczeństwa.

Szajką tą okazała się banda cyganów, którzy grasowali po całej okolicy, a wypatrzywszy odpowiednią chwilę i odpowiednie miejsce, dokonywali śmiałych, bezczelnych napadów.



Ujęcie bandytów: Banda cyganów, która grasowała w okolicy Kołomyi.

Wiadomość o ujęciu tej niebezpiecznej szajki rzezimieszków powitano w całej Kołomyjszczyźnie bardzo radośnie, gdyż od czasu pierwszego napadu nikt tam nie był pewny życia ni mienia.

Jeszcze jeden szpieg.

W Stanisławowie aresztowano przed kilku dniami w podrzędnym hotelu podróżnego, który przybył do miasta z dworca kolejowego, a wydał się podejrzanym ajentowi policyjnemu.



Krakowski teatr ludowy: Grupa artystów i artystek. 1. Reżyser Turski, obok p. Jerzy Rygier i p. Żarlińska; dalej dyrektor Rygier (X), pp. Grabowska, sekretarz W. Korolewicz, Gajewska, Wandyczowa i Wandycz; 2. pna A. Kolmanówna, obok niej na prawo pp. Szkudelski i H. Górska; 3. p. Bończa; 4. p. Poleński; 5. p. Jarniński.



Jeszeze jeden szpieg: Jan Exposito, aresztowany w Stanisławowie pod zarzutem szpiegostwa.

W policyi podał on, że nazywa się Jan Exposito, że jest Włochem, pochodzi z Odessy i włada czterema językami. Przy rewizyi znaleziono przy nim pisma szyfrowane i zapiski o charakterze szpiegowskim. Ma on być współpracownikiem wojskowego departamentu ministerstwa spraw zagranicznych w jednem z sąsiednich mocarstw, a równocześnie stoi na usługach policyi cywilnej, która zalicza go do najcelniejszych swoich sił.

Ubiegłego roku przebywał we Lwowie, gdzie obracał się w kołach socyalistycznych i emigracyi rosyjskiej. By pozyskać względy policyi lwowskiej, wydał jej szajkę fałszerzy monet, rekrutującą się z przybyszów rosyjskich.

Są poszlaki, ze rzekomy Exposito kręcił się też w przebraniu oficerów austryackich w różnych miejscowościach garnizonowych Galicyi i zdołał uzyskać wiele informacyi. Szczegóły powyższe wyjaśni dalsze śledztwo.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 37.

Dobre rozwiązania nadesłali: R. Szychowski Petersburg, W. Knapik Kielce, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Barański Lwów, F. Łopatkiewicz Jasło, S. Kaczyński Sanok, J. Obst Kraków, M. Gawańska Krosno, J. Radomski Sandomierz, W. Ostrowski Warszawa, J. Grünfeld Lwów, S. Krasowski Kraków, J. Lichański Lwów, M. Kozłowska Lwów, S. Radomska Warszawa, J. Świrski Radomyśl, J. Łukawiecki Czerniowce, K. Balicki Stanisławów, J. Witnikiewicz Lwów, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, J. Baziak Tarnów, J. Lisowski Sanok, J. Zachara Krosno, H. Wyka Kraków, M. Gryziecka Przemyśl, J. Nowacki Sandomierz, H. Kwaśniewski Staszów, W. Bandrowski Wilno, M. Gromnicka Kraków, H. Baranowski Piotrków, S. Ost Warszawa, H. Pick Łódź, H. Kopczyńska Bierzanów, M. Golska Janów, J. Jasiński Sambor, K. Brzostowski Krosno, W. Gramatyka Piotrków, S. Zabierzowski Częstochowa, A. Gralewski Kraków, A. Trzeciak Kraków, A. Pankowski Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Walicki Mińsk, H. Borkowska Kraków. J. Ścieżka Sambor, K. Królikowski Tarnów, S. Karczmarski Kraków, J. Ackermann Podgórze, H. Reim Lisko, K. Torczyński Rozwadów, J. Nikiel Zakopane, W. Potocka Kraków, A. Lech Kraków, W. Lipowska Zakopane, B. Gramski Nowy Sącz, J. Gawor Tarnów, H. Barnat Rzeszów, J. Stankiewicz Sambor, S. Osachowski Jasło, H. Krożel Kraków, J. Przeworski Lwów, W. Misiewicz Jasło, R. Kinalski Rozwadów, J. Scholz Nisko, C. Wang Tarnobrzeg, J. Engelberg Rzeszów, W. Klappolz Kraków, M. Rosenbaum Tarnów, M. Krawecka Bochnia, J. Jahoda Cieszyn, H. Piątek Podwołoczyska, J. Bartmański Brody, K. Szczepański Wiedeń, K. Turecka Tarnopol, K. Kaim Kraków, A. Rotter Stanisławów, S. Kowalówka Kraków, W. Kowalówka Kraków, H. Zegartowska Łososina górna, K. Zegartowska Bogucice, J. Jaworski Kraków, J. Badura Rożdzień, J. Fingerer Stryj, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Łukawiecki Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Szarada.

K
S o s
K o n a k
L i s
e
A c h
K o w n o
R a d
k
B a r
W a c e k
B r y ł a
M o n i t o r

Zadanie do przestawienia: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Arytmograf:

D
B z y
R e i m s
R a w e n n a
Ł u e y a
K i r
S o s n a
H i s z p a n
P a n t a l e o n
L ü t t i c h
T k a c z
L n y
A

Zagadka literacka:

Noc majowa
Ofiara i sumienie
W tysiąc lat
Ostata i Stuart
Wrażenia z podróży
Ironia śmierci
Eros i Psyche
Jędza
Sycylia i Kalabrya
Krzyżacy
Irena

Zagadka do przestawienia: Wyszły szydła z miecha.

Rebus: Kiedy sroka na płocie skrzeczy, albo kot się myje, pewno goście niedaleko.

Z półek księgarskich.

John Foster Fraser **Jak Ameryka pracuje,** tłómaczył Z. Przemyśl 1910. Księgarnia A. Juszyńskiego.

Ponieważ w dzisiejszej walce ekonomicznej nie wystarczają wysiłki kilku jednostek, tylko trzeba nieutrudzonej woli i ustawicznej pracy całego społeczeństwa. przez przetłómaczenie angielskiego dzieła **America at Work** chce nas tłómacz zapoznać z ową nieutrudzoną gorliwością, dzięki której Ameryka zdobyła sobie pierwsze miejsce w handlu światowym.

Wydanie staranne, ozdobione licznemi illustracyami.

Kalendarz Maryański na r. 1911. Nakładem Karola Miarki w Mikołowie (Górny Śląsk). Cena 50 fenigów.

Wydawnictwo Karola Miarki cieszą się zasłużoną sławą. W rzędzie ich **Kalendarz Maryański** zajmuje jedno z najpoczetniejszych miejsc, stanowiąc dla naszego ludu nader pouczającą i zajmującą lekturę. Na treść jego składają się nader interesujące artykuły, ozdobione pięknemi illustracyami, z których kilka wykonanych jest w kolorach. **Kalendarz Maryański** zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. M. Farbowska, Skawina: Do nadesłanej nam szarady nie dołączono rozwiązania.

WP. M. Sulima, Skawina: Zapowiedź, że WPani nie będzie się nam już więcej naprzykszać i nadsyłać szarad, wcale nas nie ucieszyła. Prosimy o zmianę postanowienia i przyrzekamy solennie nie gniewać się wcale, choćbyśmy codziennie otrzymali zagadki i szarady.

Głosy publiczne.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

25

— Ach tak!... — zawołał baron. — Pan kocha Kamillę?..,

— Bardzo... — odrzekł inżynier tonem poważnym i przejętym.

— Ależ, drogi przyjacielu, pan wie przecież, że ona jest zaręczona z Piotrem Cartelegue'm!

— To znaczy, że...

Samochód zatrzymał się w tej chwili przed pałacykiem Dureta.

— Ach, mój drogi — przerwał Raul de Lagunan. — Powrócimy jeszcze do tej rozmowy... Na razie jednak niech mi pan pomoże wysiąść z samochodu.

Inżynier wziął znowu pod rękę rannego i doprowadził go do domu.

Służący Maksyma Dureta otwierał już drzwi.

— Pani baronowa i panna Kamilla są właśnie tutaj — oznajmił.

Po wejściu do salonu, w którym znajdowały się obie panie z prezesem, Maurycy zrobił gest uspokajający i uśmiechnął się.

— To nic... — rzekł śpiesznie. — Proszę się nie lękać.

Bał się, by się Kamilla nie przestraszyła.

— Zupełnie nic — powtórzył baron z żałosnym uśmiechem.

Kamilla, matka jej i Maksym Duret zerwali się z swych miejsc.

— Co się stało?

Maurycy, szanując wolę barona, przyjął jego tłómaczenie i teraz oznajmił:

— Wypadek samochodowy... skończył się jednak tylko kilkoma kontuzyami.

— I kilka plam błota — dodał Raul de Lagunan.

Szara powłoka, która zaczęła już wysychać, pokrywała go od stóp do głowy.

— Gdzie ci się to stało?...

— Na samym środku bulwaru Bineau.

— Razem z panem de Terrade?

— Nie... Sam byłem... Prawdziwie opatrznościowy wypadek sprowadził w pięć minut potem naszego kochanego przyjaciela do ławki, do której się dowlokłem...

— Ach! — odezwał się Maksym Duret — jest to istotnie dzień pełny wypadków.

— I wam się jaki trafił? — zapytał baron, siadając w fotelu.

— I dobry! Dopieroco!

— Przed chwilą — rzekła baronowa — może na dziesięć minut przedtem, zanim pan de Terrade podniósł ciebie na bulwarze, myśmy podnieśli z podłogi w jadalnym pokoju zemdloną Kamillę...

— Zemdloną?... — zawołał Maurycy.

Inżynier zbladł zupełnie. Na widok Dureta i baronowej, których zbrodniczość już poznał, w młodym człowieku zawrzała krew... Na wieść, że Kamilli stało się nie dobrze, twarz jego przybrała jakiś grobowy, przezroczysty odcień.

— Co to było?

Odpowiedziała młoda panna:

— Nie wiem... jakieś oszołomienie... Zapewne to, co lekarze nazywają zawrotem głowy...

— Byłem razem z siostrzenicą w swym gabinecie... — opowiadał prezes. — Przed chwilą miałem wizytę pana Turnera... Ponieważ siostrzenica czuła się źle, chciałem jej przynieść kieliszek wina hiszpańskiego i w tym celu poszedłem do jadalnego pokoju... Otwierając jednak drzwi natrafiłem na leżącą Kamillę...

— Ach, mój Boże! — szepnął inżynier.

— Nie wiedziałem nawet wcale, że jest u mnie... Przyszła, gdy bawił u mnie pan Turner i chciała czekać, aż on wyjdzie.

— I upadłam, nie wiedząc nawet, jak i z jakiego powodu — dodała Kamilla.

— Ach, jakżeśmy się przestraszyli, znajdując ją omdlałą... — rzekła baronowa. — Na szczęście miałam swój flakon z solami.

— I zaraz też przyszła do siebie — opowiadał dalej Maksym Duret. — Mimo to wypadek ten wstrząsnął nami bardzo.

— Należy spytać doktora, co to ma znaczyć...— zauważył Raul de Lagunan.

— Nic złego! — odparła Kamilla. — Prosty zawrót głowy. Szkoda tracić czasu na takie drobnostki. Należy raczej zająć się tobą, mój ojcze...

— Zaraz opatrzymy twe rany — — rzekł filantrop, zbliżając się do męża swej siostrzenicy.

— A jabym poprosił także i o czyste ubranie— zwrócił się baron do Dureta.

— Chodźmy do mego pokoju.

Maksym Duret i Maurycy wzięli pod rękę rannego i razem we trójkę wyszli. Poszła za nimi i baronowa, przedtem jednak nakazała Kamilli:

— A ty moje dziecko pozostań tutaj... Musisz wypocząć...

Podczas gdy prezes i Maurycy rozbierali Raula de Lagunan, baronowa zajęła się przyrządzaniem bandażów. Baron czuł się już lepiej. Wogóle doznał on więcej strachu niż bólu.

— Wyobraźcie sobie — zwrócił się do swej żony i filantropa — iż ten kochany Terrade jechał właśnie do nas... Chciał nas prosić... zgadnijcie o co?... O rękę Kamilli!

— Jakto?..: — odezwali się jednocześnie baronowa i Maksym Duret.

Inżynier w chwili tej rozpinał żakiet barona. Nie przerywając swej pracy i nie patrząc nawet na panią de Lagunan, odparł zimno:

— Tak, pani, mam zaszczyt prosić o rękę pani córki.

— Ależ, panie — odrzekła Łucya — pan przecież wie, że Kamilla jest już zaręczona.

— Zaręczyny można zerwać — rzekł Maurycy.

— Owszem — odpowiedział na to Maksym Duret. — Nie wiem tylko, czy Kamilla zechce zerwać z panem Cartelegue'm, by poślubić pana de Terrade.

Prezes wypowiedział zdanie to z całą swą wyniosłością i pychą. Dziwił się, iż inżynier ośmiela się rywalizować ze swym pryncypałem. Raul de Lagunan, widząc, jaki ton przybiera rozmowa, nie odezwał się ani słowem. Maurycy mógł odpowiedzieć wprost filantropowi: „Pan się myli... Piotr i Kamilla zwrócili sobie słowo... Natomiast dzisiaj rano ja zostałem przyjęty przez pannę de Lagunan“. Inżynier jednak nie chciał narażać Kamilli na wymówki rodziny. Sam miał sposoby, by złamać jej opór.

— Nie zajmujmy się na razie wolą panny de Lagunan — rzekł znowu. — Mówmy naprzód o pańskiej. Jaką ona jest?

Baron mimo swej słabej inteligencyi czuł wyraźnie, iż Maurycy stawia się ostro. Zadowolił się jednak stwierdzeniem w duszy tego i zachował dalej milczenie, wiedząc, że w takich sprawach z jego głosem nie będą się liczyli. Co zaś do Maksyma Dureta i baronowej, to ci nie mogli się oprzeć zdumieniu i wprost przypuszczali, iż umysł inżyniera uległ jakiemuś wstrząśnieniu. Co znaczy ta dziwna zuchwałość tego chłopca, który dotychczas odznaczał się taką wstrzemięźliwością w mowie i skromnością w całem zachowaniu?

— Wolą naszą jest — odpowiedziała Łucya de Lagunan — aby córka ma poślubiła pana Piotra Cartelegue'a.

Gdy Maurycy kochał Kamillę w skrytości duszy, rozpacznie, znajdował w sobie dosyć siły, by taić to uczucie. Walka zaś, którą rozpoczynał teraz, była niczem w porównaniu z walką, jaką prowadził poprzednio, nie wymagała ona bowiem z jego strony żadnych wysiłków. Z największym też spokojem, nie unosząc się wcale, odparł:

— A więc wola ta nie jest dla mnie korzystną... Tem gorzej... Żałuję bardzo, że nie będę mógł jej uszanować...

— Pan nie uszanuje naszej woli?... — zawołał prezes.

Zamienił przytem z baronową spojrzenie, które miało oznaczać:

„Ależ on istotnie zwaryował!...“

— Nie — odpowiedział inżynier. — Gdyż państwo nie mają nawet prawa mieć swej woli...

— Jakto, my nie mamy prawa mieć swej woli? — zdumiała się baronowa.

Raul de Lagunan siedział w milczeniu. Widział, że na niego nikt nie zważa. Maurycy nie chciał spierać się z baronową. Szlachetność jego nie pozwalała mu walczyć z kobietą, choć tak winną, jak ta. Zbliżył się do Maksyma Dureta i powiedział tak cicho, iż prezes sam tylko słyszał:

— Czyż pan uważa się jeszcze w prawie do zabraniania lub nakazywania czegokolwiek pannie Kamilli? A czyż panią de Lagunan nie należy uważać za pozbawioną praw matki?...

Teraz dopiero zrozumiał Maksym Duret. Piotr widocznie zwierzył się ze swemi podejrzeniami inżynierowi. A jeżeli ten przemawiał tak śmiało, to podejrzenia te musiały być silniejsze teraz, niż przedtem. Dotychczas jeszcze nie atakowano tak wprost prezesa. Julian Maixent nie szczędził mu aluzyi, lecz na tem tylko wszystko się kończyło. Maurycy de Terrade nie zawahał się rzucić mu oskarżenia. Nędznik tracił teraz grunt pod nogami... Rzucał dokoła siebie błędne spojrzenia. Gdy oczy jego znowu zwróciły się na Maurycego, inżynier obrócił się plecami i wyszedł. Udał się do salonu, w którym pozostała Kamilla.

Młoda panna siedziała w fotelu. To, co nazwała tylko prostym zawrotem głowy, było dla niej w gruncie rzeczy bolesnem doświadczeniem. Cała jej twarz jaby się pomarszczyła. Oczy zapadały głęboko, wejrzenie zaś miało w sobie jakąś dziwną surowość i ponurość. Nie uśmiechnęła się nawet na widok wchodzącego Maurycego.

— Już się stało — rzekł inżynier. — Prosiłem o twą rękę.

— Ach! — rzekła Kamilla obojętnie z roztargnioną miną.

Maurycy zadrżał. Co ma oznaczać ten ton? Trzeba to chyba przypisać omdleniu, którego młoda panna tak nagle doznała.

— Zostawiają ci wolną wolę — dodał.

— Ach!... — powtórzyła znowu Kamilla tym samym zmęczonym głosem.

Serce młodego człowieka ścisnęło się teraz boleśnie. Jakto? Czyż to ona jeszcze przed kilku godzinami śmiała się i płakała zarazem, zamieniając z nim miłosne przysięgi? Maurycy nie chciał wierzyć ani swym oczom, ani uszom.

Tymczasem Kamilla powstała, przez chwilę wahała się, wreszcie rzekła:

— Dobrze... Namyślę się...

— Namyślę się!... Nad czem?

— Nad odpowiedzią, jaką mam panu dać...

— Przecież pani dała mi ją już rano... gdy ja uawet o nią nie prosiłem.

— Rano?... — odparła młoda panna. — Och, wtedy ja nie wiedziałam, co czynię... Byłam wtedy pod wrażeniem pojedynku Piotra... Chcę rozważyć wszystko spokojnie.

Przy każdem słowie Kamilli Piotr bladł coraz bardziej.

— A ja sądziłem, że pani mnie kocha choć trochę — szepnął.

— Ależ tak jest, ja kocham pana... W naszych jednak czasach jest nie tylko miłość... Jest także i świat, do którego należymy, a życie jest strasznie drogie... Mój zaś posag jest bardzo skromny... a pan ma tylko pensyę w fabryce...

Maurycy stał bez ruchu. Opuścił głowę i czuł, jak życie go opuszcza.

Kamilla mówiła dalej:

— Bywają chwile, gdy człowiek zapomina o rzeczywistości... Gdy sobie to przypomni, staje się praktycznym... i wtedy... Pan rozumie?...

Maurycy nie odpowiadał. Kamilla stała się również bardzo bladą. Zdawało się, iż ta krótka rozmowa wyczerpała ją zupełnie. Usiadła znowu i rzekła:

— Jeszcze nie przyszłam do siebie po tem omdleniu... Potrzebuję chwili spokoju. Do widzenia.

Przymknęła oczy.

Maurycy podniósł głowę, popatrzył na młodą pannę z wyrazem strasznej boleści, potem, nie mówiąc ani słowa, wyszedł z salonu. W westibulu spotkał Maksyma Dureta, który szedł ku niemu pośpiesznie. Filantrop opanował się wreszcie po zdumieniu. Nie chciał pozostawać pod oskarżeniem, jakie mu rzucił Maurycy.

— Ach, pan tutaj! — rzekł, zwracając się do inżyniera. — Pańskie dziwne słowa tak mnie zdumiały, iż na razie nie wiedziałem, jak mam panu odpowiedzieć... Poprostu byłem tem oszołomiony... Obecnie jednak, gdy odzyskałem już swe zmysły, pozwoli mi pan odpowiedzieć sobie... Chociaż nie domyślam się znaczenia tych tajemniczych słów, które pan wypowiedział, czuję jednak w nich ukrytą zniewagę... Proszę więc, aby pan się tu więcej nie pokazywał.

Maurycy przez chwilę wahał się, czy ma wprost w oczy wypowiedzieć temu nędznikowi całą swą wzgardę. Potem wzruszył jednak ramionami. Co mogą znaczyć dla niego groźby i zniewagi tego człowieka? Czyż wogóle jest obecnie taka rzecz, która miałaby dla niego jakie znaczenie? Wszystko mu już jedno! Wzruszył znowu ramionami i wyszedł.

Maksym Duret udał się do salonu. Kamilla siedziała jeszcze z przymkniętemi powiekami.

— I co? — zapytał ją prezes. — Czujesz się jeszcze źle?

Młoda panna zadrżała, potrząsła głową, lecz nic nie odpowiedziała. Walczyła z nowem omdleniem, które ją znowu opanowywało. Maksym Duret podszedł ku niej i wziął ją za rękę. Kamilla jakby wstrząsnęła się cała wobec tego dotknięcia, otworzyła nagle oczy i odsunęła się w tył.

— To nic — rzekła oschłym tonem. — Proszę mnie pozostawić.

Maksym Duret zdziwił się. „Dzisiejsze wzruszenia rzeczywiście źle na nią wpłynęły" — pomyślał. — W pojedynku upatrywał przyczyny ataku nerwowego młodej panny. Rzeczywistość jednak była inną. W południe młoda panna powróciła do domu przepełniona radością. Pani Lagunan wyłajała ją bardzo za ten wybryk. Nie pohamowało to jednak radości uszczęśliwionego dziecka. Pod wieczór, gdy matka jej wyszła, postanowiła młoda panna iść do swego wujecznego dziadka i wszystko mu opowiedzieć. Dziadek we wszystkiem jej dogadzał. Może i teraz okaże jej pomoc i wpłynie na matkę, by przyjęła Maurycego. Wsiadła do dorożki i kazała się zawieść na bulwar Bineau. Gdy służący prezesa oznajmił jej, że przybył tam z wizytą pan Turner, weszła do jadalnego pokoju, by czekać na odejście gościa. Siedząc przy drzwiach, wiodących do gabinetu, usłyszała nagle głos swego dziadka i Australczyka. Widać było, że zapomnieli się. Dotychczas rozmawiali po cichu, w dyskusyi jednak podnieśli głos, sami tego nie spostrzegając.

„Cóż to! Karol Turner niema już swego angielskiego akcentu! — spostrzegła Kamilla. — Lecz cóż on mówi?..." Osłupienie jakby sparaliżowało jej ruchy!

Australczyk mówił:

— ...Znam swój zawód... lecz i ciebie, stara bestyo, nie w ciemię bito... Możnaby przeszukać więzienia całej Francyi i jeszcze nie znalezionoby opryszka równego tobie.

Osłupienie Kamilli mieszało się z przestrachem.

— A więc do jutra w południe! — dodał Karol Turner. — A przygotuj czek!

Młoda panna nie mogła pojąć istoty tych słów. Instynktownie jednak zaczęła cała drżeć. Rozległ się hałas zamykanych drzwi, potem otwieranych z powrotem i znowu usłyszała głos Australczyka.

— A liczę na dobre śniadanie! Nie staraj się wykręcić sucharami i czystą wodą! Będziemy się tem żywili, gdy sprawy przyjmą zły obrót!

Siły Kamilli słabły. Zaczęła zdawać sobie niejasno sprawę, że Karol Turner jest fałszywym Australczykiem, że Maksym Duret planuje razem z nim jakąś zbrodnię. Czyż to możliwe?... Czyżby jej dziadek, którego uważała zawsze za uosobienie szlachetności i dobroci, był bandytą? Zupełnie machinalnie, nieświadomie, ruchem lunatyczki nachyliła się do drzwi i przyłożyła ucho do dziurki w zamku, by lepiej słyszeć słowa, których nie mogła rozróżnić. Tym razem poznała głos pani de Lagunan.

Kamilla z szeroko rozwartemi oczami słuchała przez chwilę w osłupieniu. Potem kolana jej się ugięły, postać się pochyliła i bez czucia osunęła się na dywan. Gdy ją Duret i pani de Lagunan ocucili, z oczu jej nie popłynęła ani jedna łza. Rosło w niej tylko jakieś dzikie pragnienie śmierci.

Z chwilą pojawienia się Maurycego tak się poczuła źle, iż zdawało jej się, że to pragnienie urzeczywistni się teraz. Boleść jednak rani, lecz nie zabija tak łatwo. Biedne dziecko pozostało przy życiu i w posiadaniu wszystkich swych zmysłów. A gdy pozostała sama z inżynierem, znalazła dosyć sił, by odegrać tę wstrętną komedyę egoizmu i lekkomyślności. Nie wiedziała dokładnie jaką właściwie zbrodnię układa jej matka i dziadek do spółki z tym fałszywym cudzoziemcem. To jednak, co usłyszała, napełniło ją obawą o ich honor. Jako córka i wnuczka zbrodniarzy, nie mogła poślubić tak dzielnego człowieka, jak Maurycy. Należało z nim zerwać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Praktykant
do zakładu cynkograficznego
z ukończoną szkołą wydziałową lub dwoma klasami szkoły średniej
potrzebny zaraz.
Wiadomość w Administracyi naszego pisma, ul. Zacisze 7, I. p.

Zagadki do nagrody.

ZAGADKA PRZYSŁOWIOWA.

Ułożył K. Fuchs, Czeremchów.

Z każdego z umieszczonych poniżej wyrazów wyjąć, nie zmieniając porządku, po dwie głoski, z ostatniego zaś jednę i utworzyć z nich nowe przysłowie:

Patron, nafta, siłacz, sakiewka, mosiądz, sandał, faktor, brama, magiel, ogień.

SZARADA.

Ułożył J. K. Januszewski, Kraków.

Płyniesz wartko — *czwarte trzecie*
Płyniesz wiecznie w dal,
Ja tu stoję sam na świecie
A we mnie wre żal.

Pierwsze — piąte moją duszę
Zwątpienie i ból
Choć go targam, choć go głuszę
Piosenką gdzieś z pól.

Usta barwy *czwartej — drugiej*
Wciąż zwodziły mnie,
Jam im wierzył czasy długie,
Teraz o nich śnię...

I wciąż mi się, *drugie* o niej
Bo kochałem ją,
Choć jej wina, jak na dłoni
Boli duszę mą!

Pst!.. Gdzieś *całość* płynie w dali
Pewno zna ból mój,
Chce ugasić żal, co pali
I wstrzymać łez zdrój!

Kocham wiosny noc i ciszę,
Kocham wiklin gwar
I tę *całość*, którą słyszę
I jej boski czar!...

ZAGADKA LITERACKA.

Ułożył K. Fuchs, Czeremchów.

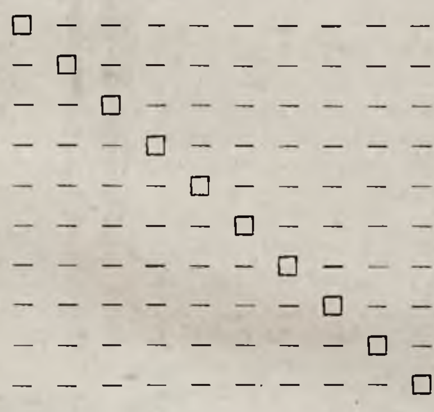
Wynaleść nazwy utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, dadzą nazwisko polskiego kompozytora.

Żeromski ?
Rzewuski ?
Rodziewiczówna ?
Bolesławita ?
Dzierzkowski ?
Chłędowski ?
Korzeniowski ?
Gawalewicz ?
Kraszewski ?
Żuławski ?

ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożył J. Badura, Roździeń.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Litery, umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko jednego z państw europejskich.



Znaczenie wyrazów: 1. Słynny polski muzyk. 2. Malarz polski. 3. Port wojenny na dalekim Wschodzie. 4. Miasto w północnej Ameryce. 5. Urzędnik państwowy. 6. Filozof grecki. 7. Starożytny władca wyspy Samos. 8. Nazwa starożytnej stolicy Persyi. 9. Kwiat. 10. Jedno z urządzeń galicyjskich.

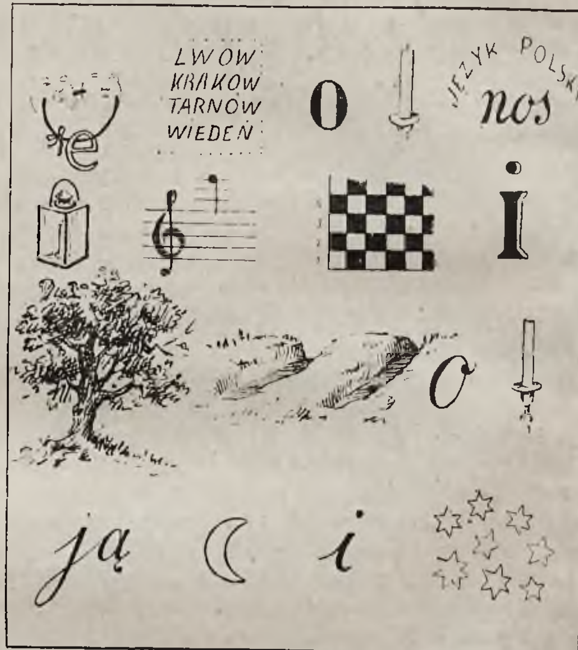
ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożyła M. Malinowska, Oświęcim.

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko współczesnego polskiego pisarza.

la —
ko —
— wa
— is
kr —
re —
— al
— ra
da —
ok —
— ak
— to
ra —
sk —

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Johna Fostora Frassera:* **Jak Ameryka pracuje.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie